

ADAM MICHNIK

(Warszawa)

Od polskiej rewolucji do polskiej gościnności (refleksje nieuporządkowane na temat biografii Karola Modzelewskiego)

Dla Kamerdynera nikt nie jest bohaterem.
Nie dlatego, że ten nie był bohaterem, ale
dlatego, że tamten jest kamerdynerem.

G. W. F. Hegel

Największą trudnością zawodu historyka — lubi powtarzać prof. Karol Modzelewski — ale i największym urokiem tego zawodu jest wysiłek przenikania w głąb języka i systemu wartości kultury, która różni się od naszej. Jak zrozumieć barbarzyńców, o których pisał Tacyt — przywoływany przez prof. Modzelewskiego — że „zdrajców i zbiegów wieszają na drzewach, a winnych tchórzostwa na wojnie lub cielesnej hańby topią w błocie i bagnie przykrywając z wierzchu gałęziami”?

Zapytajmy przeto — jak rozumieć ludzi, którzy przed półwieczem rozniecali bunt przeciw dyktaturze posługując się językiem niezrozumiałym dzisiaj, często egzotycznym i obco brzmiącym?

Jak zrozumieć człowieka, który swym życiem odcisnął się tak wyraziście na historii najnowszej Polski? Takich ludzi nazywano „dysydentami” — ale jest to określenie wymienne. Można je wymienić na: „heretyk”, „buntownik”, „rewolucjonista”. Skąd brali się tacy ludzie? Z nieprzystosowania. Zaś nieprzystosowani to ludzie rozmaici: geniusze i wariaci, odważni i tchórze, święci i prowokatorzy, asceci i obżartuchy, fanatycy i tolerancyjni. Karol Modzelewski był nieprzystosowany — z własnego wyboru. Był nietypowy. Był — obok Jacka Kuronia — ojcem chrzestnym opozycji demokratycznej. Obaj — jako pierwsi — przekroczyli próg legalności i rzucili otwarte wyzwanie dyktaturze komunistycznej. Obaj też zapłacili za to bardzo wysoką cenę — wielu lat więzienia. Z czasem Karol Modzelewski stał się rewolucjonistą który rozumiał wartość kompromisu i ugody. Z uporem silnej indywidualności bronił swej wiary w egalitaryzm i kolektywizm. Fascynował go tłum, który upominał się o swoje prawa. A przecież żadne doktryny kolektywistyczno-egalitarne, żadne autorytety ideologiczne czy historyczne nie skłoniły

go nigdy, by — wbrew własnemu przekonaniu — siedł za tłumem ludzi zrewoltowanych, którzy krzyczeli: „precz!”. Zawsze był uparty, czyli wierny sobie; zawsze zdanie zmieniał z trudem. Ale zmieniał to zdanie zawsze w wyniku własnego przeświadczenia, a nie pod presją ludzi czy koniunktur. Od wczesnej młodości studenckiej był cudownym dzieckiem polskiej nauki historycznej. Był też dzieckiem swojego czasu — najpierw młodziutkim, zaangażowanym adeptem marksizmu-leninizmu. Potem odnalazł się wśród buntowników Polskiego Października 1956 r., gdy dyktaturę komunistyczną poddawano brutalnej krytyce za to, że zaprzeczała wartościom, które głosiła i obiecywała.

Na koniec stał się jednym z najwybitniejszych obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Rogatych Dusz.

I.

Najpierw poznałem matkę Karola, panią Natalię Modzelewską. Musiało to być gdzieś w 1962 r. Zupełnie nie pamiętam jak to się stało; pewnie ktoś przysłał mnie z czymś do pani Natalii. Poznałem osobę przemiłą i bezpośrednią, tłumaczkę „Lalki” Bolesława Prusa na język rosyjski, redaktora pism zebranych Antoniego Czechowa w języku polskim. To od niej usłyszałem o Karolu po raz pierwszy. Była w swoim synu śmiertelnie zakochana i nieprzerwanie z nim solidarna. W najtrudniejszych chwilach była wielkim oparciem dla Karola.

Karol był wtedy w Italii na stypendium naukowym. Gdy wnet powrócił, miałem okazję poznać go osobiście. Było to jedno z tych spotkań, które odmieniają życie. Wtedy właśnie, wspólnie z przyjaciółmi z kilku warszawskich szkół, tworzyliśmy tzw. Klub Poszukiwaczy Sprzeczności, zwany także Klubem raczkujących rewizjonistów. Inspiratorem tego „tworu” był Jan Józef Lipski, wielka postać opozycji demokratycznej. Poznałem go w Klubie Krzywego Koła, gdzie trafilem jako licealista. To Jan Józef, mądry i dobry duch tamtych czasów, namówił mnie do takiego pomysłu.

Prelegentów zapraszaliśmy różnych: Zygmunta Baumana, Bronisława Baczkę, Włodzimierza Brusa, Andrzeja Walickiego, Stefana Nowaka, Witolda Dąbrowskiego, Aleksandra Małachowskiego — no i oczywiście — Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia. Karol miał mówić o debatach, które toczyły się na włoskiej lewicy. Nie pamiętam już, co opowiadał, ale z pewnością był to dyskurs antystalinowski, rewizjonistyczny, wprost nawiązujący do wartości i tradycji Polskiego Października. Taki też był klimat w Klubie Politycznym na Uniwersytecie Warszawskim. Powstanie klubu było pomysłem Karola Modzelewskiego; wykorzystał do tego szyld ZMS na UW. Debaty klubowe cieszyły się popularnością i ożywiały idee Polskiego Października, zepchnięte już w niebyt. Była to epoka cenzury i konserwatywnych rządów Władysława Gomułki; czas „naszej małej stabilizacji”. Wtedy wysłuchałem kilkakrotnie publicznych wystąpień Karola Modzelewskiego.

Były znakomite, porywały słuchaczy. Mówił jasno, zrozumiale, z troską by być rozumianym i z wielkim szacunkiem dla słuchaczy. Był wiarygodny i autentyczny — trafiał do przekonania. Szybko zyskał ogromną popularność — swymi poczynaniami ożywiał „stojącą wodę” uczelni. Uparcie przypominał wartości Polskiego Października. Krytykował wszechwładzę aparatu partyjnego, powracał do koncepcji rad robotniczych, piętnował nierówności społeczne i ograniczenia wolności słowa.

Wiodło to w oczywisty sposób do konfliktu z aparatem partyjnym. Już wtedy działał ręką w rękę z Jackiem Kuroniem. Dwójką przyjaciół interesować się zaczęli funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa. Aparat zdławił Klub Polityczny, a formalne potępienie takich inicjatyw przypieczętował Władysław Gomułka w przemówieniu na XIII plenum KC PZPR (latem 1963 r.).

Po latach Karol Modzelewski wspominał (w rozmowie z Janiną Jankowską):

„Dla ludzi młodych, traktujących poważnie ideologię komunistyczną równie ważna była konfrontacja głoszonego ideału z rzeczywistością. A wypadła ona druzgocąco. [...] Dla nas, także dla pokolenia Woroszylskiego, zawalenie się fasady ideologicznej stanowiło bardzo silny bodziec do poszukiwań takiego zaprzeczenia rzeczywistości stalinowskiej, która mieściłaby się w kręgu wpojonych ideałów. I tu tkwi według mnie istota rewizjonizmu. Była to ideologia, która z rewolucji czyniła nie środek, tylko swego rodzaju świętość. Stąd nazwanie wydarzeń 56 roku »rewolucją« — choć one na tę nazwę nie zasługują — jest wynikiem [...] radykalizmu niektórych rewizjonistów. Ja się zaliczałem, zwłaszcza później, w 1965 r., do najbardziej skrajnego ich odłamu, kiedyśmy wspólnie z Jackiem Kuroniem w »Liście otwartym« pisali o konieczności obalenia systemu drogą rewolucyjną. Był to tekst rewizjonistyczny i mnie dziś już zupełnie obcy, a rewizjonistyczny dlatego, że nie została przecięta pewovina ideologiczna łącząca go nie z systemem, lecz z jego ideowym rodowodem”.

II.

Thietmar nie znał „Germanii” i zapewne nic nie wiedział o Tacycie. Ale Thietmar był synem Kościoła, a więc wnukiem Rzymu. Z rzymskim historykiem, którego dzieł nie czytał, łączyła go matryca kulturowego dziedzictwa.

Karol Modzelewski, „Barbarzyńska Europa”

Matryca kulturowego dziedzictwa łączyła Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia z marksizmem i tradycją ruchów rewolucyjnych. Dla historyka ciekawy jest moment, kiedy skrajny rewizjonizm zbuntowanych marksistów doprowadził od postulatu reform do przekonania o potrzebie rewolucyjnego obalenia systemu dyktatury aparatu biurokratycznego. Była to swoista reinterpretacja jednej z tradycji Polskiego Października. Bowiem Polski Październik miał różne twarze. Łączyła te twarze wolność. Była to wolność z naciskiem na brak zakazów — wedle Leszka Kołakowskiego — lub też wolność z naciskiem na większą suweren-

ność od Moskwy i rekonstrukcję polskiej tradycji i tożsamości narodowej — wedle grupy dziennikarzy z „Po prostu” skupionych wokół Jana Olszewskiego. Była to wreszcie wolność z naciskiem na ludowładztwo i rady robotnicze — symbolem tego nurtu był Lechosław Goździk. Nie były te nurty ze sobą sprzeczne, ale z czasem różnice między nimi okazały się istotne. Historyk idei powie zapewne, że decydujący był moment, w którym autorzy „Listu otwartego” zdefiniowali aparat biurokratyczny jako nową klasę rządzącą a konflikt tej nowej klasy z klasą robotniczą określili jako antagonistyczny.

Ich analiza sięgała — poprzez matrycę kulturową — do myśli Lwa Trockiego o „zdradzonej rewolucji”, do książki Róży Luksemburg o rewolucji bolszewickiej, do „Nowej klasy” Milovana Đzilasa, no i — oczywiście — do publicystyki Polskiego Października. Karol Modzelewski nie wspominał w swoich pracach o wpływie Lwa Trockiego — być może chciał po prostu uniknąć dyskryminującej etykiety „trockisty”. Natomiast dobrze pamiętam swoje rozmowy z Jackiem Kuroniem na ten temat. Jacek mówił, że Trocki był dla niego swoistym objawieniem. Pozwalał mu przejść na pozycję zasadniczego sprzeciwu wobec władzy, a zarazem zachować swój wcześniejszy język, system wartości, symbole i hasła. To Trocki przecież wzywał do walki ze stalinowską biurokracją w imię odzyskania władzy przez proletariatus; to on przeciwstawiał dyktaturze biurokracji — dyktaturę proletariatus. Skądinąd Kuroń i Modzelewski nie lubili tego określenia — nazywali to demokracją robotniczą. W bibliotece domowej Karola Modzelewskiego widziałem kilka tomów pism Trockiego w języku francuskim. On sam wspominał o rozmowach w Italii z Livio Maitanem, liderem włoskich trockistów. Zauważyłem wtedy, że Karol był świetnie zorientowany w geografii ruchu trockistowskiego — co było przecież wiedzą wielce ezoteryczną. Wiadomo dzisiaj, że Karol i Jacek miesali — bardzo ograniczone — kontakty z trockistami przez Belga Georgesa Dobbelerę. Wiedzę tę — archiwalną — czerpać możemy z zeznań śledczych i procesowych Ludwika Hassa, który zadenuncjował te kontakty, stając się głównym świadkiem oskarżenia na ich procesie.

Jednak Karol — tak jak i Jacek — nie był trockistą. Trockistą był natomiast Ludwik Hass. Karol nie był trockistą nie tylko dlatego, że nigdy nie wstąpił do żadnej organizacji trockistowskiej; ani nigdy nie deklarował się jako trockista. Nie był trockistą, gdyż nigdy nie myślał po trockistowsku, czyli dogmatycznie i stadnie.

W latach 1965–1967, kiedy Karol i Jacek przebywali w więzieniu, zgłosili się do nas, komandosów, młodzi trockiści z Francji, zafascynowani „Listem otwartym”. Szukali kontaktów, wierzyli w renesans trockizmu w Europie Centralnej i Wschodniej, także na Kubie. Później przyjeżdżali jeszcze trockiści — też z Francji — po rewolcie w grudniu 1970 r. Jednym z nich był późniejszy premier Francji Lionel Jospin.

Rozmawialiśmy z nimi sporo; byli bardzo inteligentni i świetnie wyedukowani. Mieli w sobie coś z ducha wczesnych komunistów — rewolucjonistów —

idealistów. Jednak każda dyskusja wydawała się pod koniec beznadziejnym wale-
niem grochem o ścianę. Albowiem znali Prawdę — tę Prawdę przez wielkie „P”.
Odkryli ją studiując pisma Lwa Trockiego i późniejsze interpretacje dokonywane
przez przywódców trockistowskich. Każdy cudzy argument konfrontowali z wła-
sną doktryną, która rozstrzygała o wszystkim. Dzięki doktrynie znali odpowiedzi
na wszystkie pytania; nie dręczyły ich żadne wątpliwości. Rozmowa z Innym nie
była dla nich zaproszeniem do odkrywania nowych perspektyw, lecz wyłącznie
okazją do agitacji. To nie miała być wymiana myśli, lecz realizacja misji apostoł-
skiej w celu nawrócenia poganina na prawdziwą wiarę trockizmu. Należeli do sek-
ty wtajemniczonych; mieli skłonić mnie do konwersji i nauczyć artykułów nowej
wiary. Czy trockiści byli — jak im zarzucano — stalinowcami *à rebours*? Sądę,
że — nie i tak. Z pewnością nie byli w żadnej mierze odpowiedzialni za kosz-
mar zbrodni stalinowskich, ani za udział w zbiorowym kłamstwie na ten temat.
Przeciwnie — należeli do wczesnych ofiar stalinizmu i wczesnych demaskatorów
terroru stalinowskiego. Jednak w ich myśleniu było miejsce na aprobatę bolsze-
wickiej dyktatury, terroru — przynajmniej do roku 1924, do śmierci Lenina. I mieli
oni mentalność rewolucyjnej sekty, pełnej fanatyzmu i nietolerancji. Taki też był
Ludwik Hass. Poznałem go w Klubie Krzywego Koła; wiedziałem, że był więź-
niem łagrów stalinowskich. Rozmawiałem z nim niejednokrotnie. Był wygadany
— może raczej: wyszczekany — wyuczony znakomicie historii leninizmu i troc-
kizmu; początkowo robił duże wrażenie na kilkunastoletnim chłopaku erudycją
i radykalizmem opinii. Ale wnet ujawnił jakiś tępy upór; w jego dyskursie dostrze-
gałem ton przestrogi i pogróżki. Z czasem dostrzegłem jakąś antypatyczną agresję
wobec wszystkich inaczej myślących, jakieś koszarne sekciarstwo i doktryner-
stwo zespolone z megalomanią, co doprowadziło go z czasem do denuncjowa-
nia w śledztwie i na procesach. Później stał się regularnym donosicielem bezpieki.
Był trockistą doskonałym, choć złamanym przez policję. Zapewne umiał wyjaśnić
sam sobie te denuncjacje i raporty agenta kolejną fazą dialektycznego procesu hi-
storii i walki klas; sojusz taktyczny z bezpieką — pewnie tłumaczył sobie — jest
niezbędnym elementem strategii w drodze do zwycięstwa rewolucji światowej
à la Trocki.

III.

Karol i Jacek byli całkiem inni — mieli w sobie ducha rewolucji, ale nie ducha
sekty. Byli ludźmi otwartych umysłów; skłonni do refleksji, do namysłu i dialogu.
Jednak ich „List otwarty” można było odczytywać dwojako: jako projekt intelek-
tualny i polityczny, ale też jako szkic nowej doktryny. Tak też — podwójnie — był
on odczytywany, tak też był poddawany krytyce.

Byłem wtedy z autorami dość blisko i cieszyłem się ich zaufaniem. Nie był
to dla mnie katechizm nowej wiary, lecz najważniejszy i najciekawszy głos w de-

bacie na temat dyktatury. Ten wywód porażał wewnętrzną logiką, zgodnością z marksizmem, wiernością dla systemu wartości socjalistycznych. My, późniejsi „komandosi”, traktowaliśmy Jacka i Karola jako antyreżimowych komunistów, którzy podjęli walkę o wolność z systemem dyktatury w imię „socjalizmu demokratycznego”.

Jednak — nade wszystko — ten dokument był dla nas wyzwaniem i wezwaniem. Wyzwaniem dla dyktatury i wezwaniem dla naszego pokolenia. Było to wezwanie do postawy czynnego sprzeciwu.

Autorzy pisali w „Liście otwartym”: „Stosunki produkcji, oparte na biurokratycznej własności przekształciły się w okowy rozwoju sił wytwórczych. [...] Jedynym i nieuchronnym rozwiązaniem kryzysu ekonomicznego jest zatem obalenie tych stosunków produkcji, a tym samym obalenie klasowego panowania biurokracji”. Dokonać to musi się — jak zawsze w historii rozumianej po marksistowsku — drogą rewolucji. Grabarzem dyktatury centralnej politycznej biurokracji miał być proletariatus.

Karol Modzelewski lubił parafrazować słowa Ludwika Waryńskiego wypowiedziane podczas procesu. W „Liście otwartym” ta parafraza brzmiała jak prośba i przestroga: „My nie stoimy ponad historię, my podlegamy jej prawom. Rewolucja jest nieuchronnym następstwem ogólnego kryzysu systemu; jej organizacyjne i programowe przygotowanie zmniejsza jej społeczne koszty. Jeśli coś jest tu zbrodnią przeciw pokojowi wewnątrz kraju, to polityka panującej biurokracji, która najpierw stara się zdeorganizować i pozbawić świadomości politycznej masy, a potem próbuje złamać rewolucyjny ruch mas środkami zbrojnej przemiany. Pamiętajmy Poznań i Budapeszt”.

Po latach — znów przywołam rozmowę z Janiną Jankowską (1985 r.) — tak komentował swoją wizję rewolucji z „Listu otwartego”:

„»List otwarty« był łabędzim śpiewem rewizjonizmu [...], rewizjonizm został w nim doprowadzony do konsekwencji skrajnych. Ja tego tekstu bardzo nie lubię. W *echt* marksistowskich kategoriach analiza systemu ekonomicznego i społecznego z wnioskiem o nieuchronności rewolucji, która go obali, z programową wizją państwa opartego na radach robotniczych, nie parlamentarnego, ale z pluralizmem politycznym, wolnymi związkami zawodowymi, z prawem do strajku, zniesieniem cenzury itp. Wszystko po marksistowsku, bez uwzględniania jakichkolwiek realiów politycznych, społecznych, [...] z nadzieją, że w Rosji nastąpi też rewolucja. Jest to mi dziś całkowicie obce: cały system pojęciowy, język tego tekstu, sposób wartościowania — są do tego stopnia niemożliwe do przyjęcia, że ja tego czytać nie mogę. To bardzo smutne, bo jest to jednak fragment mojej własnej biografii”. Po upływie kolejnego dziesięciolecia (w 1995 r.) pisał o „Liście otwartym”: „Razem, jak prawie wszystkich, język tamtej epoki, w której nawet otwarty bunt, niczym średniowieczna herezja, nosił znamię panującej ideologii. Wiem jednak, że rewizjonizm jest nie tylko fragmentem mojej osobistej biografii, ale i ogniwem naszej wspólnej historii. Wspólnej, czyli obejmującej także tych, którzy nie dali się

zbałamucić, lecz nie byli w stanie wyrazić swego sprzeciwu wobec komunizmu. Wiadomo, że tradycyjni antykomuniści nie doszli do głosu w pierwszej dekadzie po 1956 roku. Stało się tak nie tylko za sprawą wcześniejszych, okrutnych represji lecz także w wyniku ideologicznej hegemonii komunistów. W klimacie umysłowym tamtych czasów podważenie owej hegemonii dokonywało się głównie poprzez rewizjonizm”.

Cóż tu dodać? To fragment także mojej biografii — młodszego kolegi dwóch starszych przyjaciół. Ten młodszy kolega spierał się z nimi nieraz, wyposażony w bagaż rozmów z Janem Józefem Lipskim i własnym ojcem, z głową wypełnioną esejami Leszka Kołakowskiego i artykułami z „Kultury” paryskiej, ale przecież chciał iść z nimi — i szedł z nimi — świadomy, że to oni przekroczyli Rubikon oddzielający niezgodę intelektualną od otwartego sprzeciwu. Właśnie tak było — za sprawą Jacka i Karola, „kości zostały rzucone”.

IV.

Ten młodszy kolega zapamiętał jeszcze coś nader istotnego — postawę dwóch starszych przyjaciół w śledztwie i podczas procesu. W śledztwie obaj milczeli jak zakłęci. Podczas procesu — utajnionego decyzją sądu — zachowali się w sposób, który stał się wzorem dla kolejnych roczników opozycji demokratycznej. Oskarżeni zostali o „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, które zmierzały do obalenia przemocą ustroju politycznego oraz społeczno-gospodarczego” w Polsce. Był to art. 23 Małego Kodeksu Karnego. Modzelewski wyszydził ten zarzut w trakcie procesu.

„Fałszywą wiadomość — mówił — jest łatwo sprawdzić przy pomocy obiektywnych, niebudzących wątpliwości kryteriów. Z poglądem można się nie zgadzać, można go atakować, przeciwstawiając mu inny pogląd, ale rozstrzygnięcie [...] nie jest sprawą prostą”. „Jesteśmy — kontynuował — aresztowani, oskarżeni i sądzeni za głoszenie poglądów politycznych sprzecznych z poglądami oficjalnymi, a nie za żadne fałszowanie wiadomości”. Konstytucja gwarantuje wszystkim wolność słowa. „Z natury rzeczy — mówił Modzelewski — wolność słowa nie jest wolnością powtarzania tego, co mówi rząd, tylko jest wolnością głoszenia poglądów rozbieżnych z poglądami oficjalnymi”.

Następnie powtórzył wspólne polityczne *credo*: przeciw systemowi monopartyjnemu, przeciw policji politycznej, przeciw cenzurze prewencyjnej, za prawem do strajku, za pełną wolnością słowa i zgromadzeń, wreszcie — za władzą rad robotniczych.

Andrzej Friszke, autor znakomitej pracy „Anatomia buntu”, komentując te słowa Karola Modzelewskiego zauważał, że godził on „w splot słoneczny systemu, ukazując, że oskarżenie i stojące za nim państwo nie może przywołać marksizmu na obronę prawomocności i klasowej słuszności realizowanego systemu, że

opiera się tylko i wyłącznie na zasadzie przemocy i arbitralnej obrony interesów istniejącego aparatu”.

Te słowa historyka są najlepszym komentarzem do tamtego procesu i tamtego wyroku. Nie należałem — powtórzmy — do bezkrytycznych czytelników „Listu otwartego”. Nie wierzyłem w rewolucję proletariacką stukającą do polskich bram, nie wierzyłem też w państwo rządzone przez Centralną Radę Robotniczą. Także wizja międzynarodowej rewolucji robotniczej wydawała mi się wątpliwa. A przecież dzisiaj, po tylu latach, kiedy odczytuję na nowo tamte słowa Karola, wspominam tamten proces, któremu towarzyszyłem stercząc pod salą sądową, ogarnia mnie wzruszenie godne ówczesnego studenta. Mam świadomość, że tych dwóch śmiałków otworzyło nową kartę historii Polski.

Po śmierci Milovana Džilasa Karol Modzelewski pisał o ludziach, którzy — nie będąc maszynistami „lokomotywy historii” — byli „zwrotniczymi” — przedstawiali zwrotnice. Milovan Džilas — napisał Modzelewski — „zwrotnicę naszego wieku przedstawił piórem, pisząc książkę”.

Rewelacją tej książki „okazał się dobór kluczowego pojęcia i terminu. Pisząc o panowaniu nowej klasy biurokratów politycznych, Džilas dał systemowi komunistycznemu nazwę odpowiednią do klimatu umysłowego epoki. [...] Odczarował tabu; przekreślił znak równania między zniesieniem prywatnej własności fabryk a zniesieniem klas. Biurokracja polityczna — wywodził — rozporządza państwowymi środkami produkcji i korzysta z nich we własnym interesie, jest więc ich właścicielem, nową klasą wyzyskiwaczy. To co wydawało się ideologiczną osłoną komunizmu, obróciło się ostrzem przeciw niemu. System został ugodzony w serce własną bronią”.

Karol Modzelewski pisząc o roli książki Džilasa, napisał mimowiednie o historycznym znaczeniu „Listu otwartego”, który sporządził wraz z Jackiem Kuroniem. Warto wszakże dorzucić, że autorzy „Listu otwartego”, tego „łabędziego śpiewu” rewizjonizmu, zademonstrowali nie tylko wielką odwagę i wiele utopijnej naiwności. Wykazali się oni także genialną intuicją. W roku 1965 przepowiedzieli burzę protestów robotniczych. W grudniu 1970 r., gdy obaj siedzieli w więzieniu, ich przepowiednia okazała się proroczco trafna.

V.

Jako zawodowy historyk jestem świadom niebezpieczeństw związanych z występowaniem w podwójnej roli: słowa wypowiedziane lub napisane przeze mnie kilka lat temu stanowią materiał źródłowy, którego edycję sam przygotowuję.

Karol Modzelewski

Wprawdzie historykiem jestem tylko z racji wykształcenia, to przecież normy profesjonalne i etyczne tej korporacji zawodowej towarzyszą moim próbom publicystycznym. Stąd niepokój, który towarzyszy mi podczas pracy nad moim

portretem Karola Modzelewskiego. To jest portret sporządzony przez świadka epoki i przyjaciela osoby portretowanej. Ten przyjaciel selekcjonuje fakty i formułuje opinie na wskroś subiektywne, odwołuje się do własnej — często zawodnej — pamięci, nadaje wydarzeniom opisywanym i cytowanym tekstom znaczenia własne.

Karola Modzelewskiego znam pół wieku. Od pierwszych lat podziwiałem go za to, że należał do tych najpierwszych, którzy potrafili — w imię ideałów wolności i sprawiedliwości — zaryzykować wszystko; potrafili „rzucić na stos swój życia los” wtedy, gdy byli — on i Jacek Kuroń — tak bardzo osamotnieni. Podziwiałem go i później za odwagę i konsekwencję — no i za to, kim zawsze był: błyskotliwym i przenikliwym, precyzyjnie i jasno myślącym intelektualistą; za to, że potrafił łączyć radykalizm w postępowaniu z tolerancją dla cudzego postępowania; że surowości własnych zasad towarzyszyła u niego wyrozumiałość dla słabości u innych.

Tych cnót i obyczajów uczył nas, swoich młodszych przyjaciół — prawda, że z różnymi rezultatami. Byliśmy wdzięczni Karolowi za te lekcje sprzeciwu, odpowiedzialności, racjonalnego myślenia, klarownego języka, wreszcie — szacunku dla wartości nauki i kultury, które stanowią przecież o pięknie i wartości naszego życia. Jakże tu silić się na obiektywizm? Karol przestrzegał przed apologetyką i hagiografią. Z tego, co napisałem wynika, że nie do końca jestem posłuszny tym przestrogom. Postaram się jednak ocalić choć garść heretyckich niepokojów.

VI.

Ludzie nieżyczliwi mówili o nim „czerwony książę” — dziecko najwyższej partyjnej nomenklatury. A przecież data i miejsce urodzenia bynajmniej tego nie wróżyły — rok 1937, Moskwa. Trudno o gorszy kontekst. To był koszmarny rok w historii Związku Sowieckiego. Wtedy, w Moskwie — powiadał Ilia Erenburg — „wszystko było możliwe; było możliwe nawet to, że ktoś nie aresztowano”.

Naturalny ojciec Karola został aresztowany właśnie wtedy; wtedy też uwięziono drugiego męża jego matki — Zygmunta Modzelewskiego. Zygmunta zwolniono po dwóch latach, był w wojsku Berlinga, a po wojnie pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych. Do końca życia (1954 r.) należał do komunistycznej nomenklatury. Miał bogatą przeszłość przedwojennego komunisty; przez świat władz partyjnych był bardzo szanowany. Był szanowany również poza tym światem. Z wielkim szacunkiem wyrażał się o Zygmuncie Modzelewskim — słyszałem to osobiście — zarówno Antoni Słonimski, jak i Czesław Miłosz. Świat przed Karolem otwierał wszystkie bramy — był dzieckiem „czerwonej burżuazji”. I oto „czerwony książę”, żyjący dostatnio w latach biedy epoki stalinowskiej, wychowany w klimacie wiary komunistycznej stał się buntownikiem prowadzonym w kajdankach na salę sądową.

Trudno dziś objaśnić tamte emocje. Dziś mam nieraz wrażenie, że więcej zaufania wzbudzają świadectwa ubeków i agentów niż relacje ich ofiar. Mam też i inne wrażenie — dzisiaj wszyscy wiedzą, co będzie, ale nie wiedzą — i nie chcą wiedzieć — co było. A był to czas osobliwy, gdy studentowi pierwszego roku nie przychodziło do głowy, że są obok ludzie, którzy tak heroicznie definiują swój los na całe życie. Ci ludzie dokonują prawdziwego zerwania z systemem; dokonują wyboru moralnego, by żyć w zgodzie ze swoimi przekonaniami. I byli ci inni, którzy — także na moich oczach — wybrali swój los oprawców: agentów, szpicli, oficerów śledczych, prokuratorów i prowokatorów.

Moi starsi przyjaciele przemienili w wartość moralną swój sprzeciw wobec tego, co knebluje, dławi, poniża ich samych i innych. I poświęcali temu życie.

A był to czas, gdy bohaterowie dni wczorajszych byli już zmęczeni, a nowi bohaterowie nie pojawili się jeszcze na horyzoncie; czas łagodnego zakłamania i konformizmu zrodzonego przez bezradność. I oto ktoś przerwał znowę milczenia; ktoś powiedział głośno, że „król jest nagi”. Jakaś klamka zapadła. Na korytarzu sądowym nie byłem świadkiem walki klas, lecz walki sumień.

No więc spoglądałem na nich skutych kajdankami i zastanawiałem się: cóż za głupota zrodziła decyzję tak podłą i okrutną? Przez następne lata wielokrotnie bywałem prowadzany na sale sądowe w kajdankach; była to już normalność, która nie robiła wrażenia. Ale wtedy, w lipcu 1965 r. myślałem o ludziach, którzy zdecydowali o skuciu kajdankami Jacka i Karola z pogardą, której towarzyszyła silna domieszka nienawiści.

Ale oni, Karol i Jacek, umieli zawsze uchronić się od pogardy i nienawiści do swych oprawców. Zawsze podziwiałem ich z tego powodu.

VII.

W artykule o Dżilasie Modzelewski przypomniał, że autor „Nowej klasy” należał do ścisłego kierownictwa partii komunistycznej Jugosławii w okresie wojny z faszyzmem, a potem w momencie zerwania Tito ze Stalinem. Jego bunt nastąpił później, a uwięziony został „Nową klasą”. Za tę książkę Dżilas zapłacił latami więzienia; nigdy nie skapitulował. Poznałem Dżilasa w Belgradzie, na początku 1991 r. Odwiedziłem go w mieszkaniu i — przy znakomitej śliwownicy domowej roboty — rozmawialiśmy przez kilka godzin. Był człowiekiem mądrym, demokratą bez złudzeń utopijnych, myślącym jasno, zrównoważonym. Był też patriotą jugosłowiańskim pełnym niepokoju. Obawiał się eksplozji nacjonalizmów republikańskich, które wnet miały rozsadzić Jugosławię.

Pytałem go o przeszłość. Swoje zaangażowanie w komunizm traktował spokojnie — był zdania, że w latach wojny był to dla Jugosławii wybór rozsądny — i jedyny możliwy. „Przecież powrót do przedwojennej monarchii nie wchodził w grę” — zauważał trzeźwo.

Terror lat powojennych objaśniał logiką wojny domowej, typową dla wszystkich rewolucji europejskich — angielskiej, francuskiej, bolszewickiej; także specyfiką konfliktów na Bałkanach. „Uczestniczyłem w tym w dobrej wierze — przecież byłem komunistą »wierzącym«”.

Ewoluował stopniowo, ale względnie szybko — jego pierwsze krytyczne artykuły pojawiły się chyba już w 1953 r. „Nowa klasa” była rozwinięciem i podsumowaniem krytyk i obserwacji Dżilasa, tak jak „List otwarty” był ostateczną konsekwencją radykalnych idei Polskiego Października. Dżilas ogromnie szanował Jacka i Karola; mówił o nich z podziwem. Podziwiał Polskę i „Solidarność”. Ale bardzo niepokoił się o przyszłość Jugosławii. Zrozumiałem ten niepokój w trakcie licznych rozmów belgradzkich: myśleniem inteligencji belgradzkiej zawładnął nacjonalizm wielkoserbski. Wciąż powtarzali o szowinizmie Albańczyków z Kosowa i o „ustaszach” z Zagrzebia. Telewizja serbska codziennie emitowała archiwalne fotografie masowych grobów Serbów zamordowanych przez żołnierzy reżimu Ante Pavelicia, lidera chorwackich faszystów.

Natomiast o Dżilasie mówiono jak najgorzej — wypominano mu uparcie, że był w kierownictwie reżimu komunistycznego i wraz z Tito pacyfikował Serbie po wojnie. Dodatkowo oskarżano go, że chce bronić Jugosławii przed rozpadem, zamiast głosić chwałę wielkoserbskiego nacjonalizmu. „Był komunistą i pozostał komunistą” — słyszałem wciąż o Dżilasie. Nie umiałem tego pojąć. Dlaczego Belgrad nie jest dumny ze swego bohatera? Dlaczego Jugosławia nie demonstruje światu, że to jej obywatel był — mówiąc językiem Modzelewskiego — ważnym „zwrotniczym” historii? Nie rozumiałem jeszcze, że Jugosłowian nie interesowała już wtedy transformacja demokratyczna ich wspólnego państwa, lecz destrukcja tego państwa. I nie pojmowałem jeszcze tej prawidłowości, która nakazuje ludziom akceptującym przez lata dyktaturę — z niewiedzy czy ze strachu — nie cierpieć tych pierwszych odważnych, płacących w osamotnieniu wysoką cenę za wierność postawie sprzeciwu.

Kiedy potem czytałem w gazecie rosyjskiej, że Sołżenicyn został uwięziony i skazany na lata łagru za trockizm; kiedy czytałem w polskim dzienniku, że Kuroń i Modzelewski zostali uwięzieni i skazani za krytykę liberalnej polityki Gomułki wobec Kościoła — wracałem myślą do Dżilasa, któremu inteligenci — antykomuniści ostatniej godziny — wciąż wypominali zaangażowanie komunistyczne. Obwiniali go o powojenny komunizm, ale wyczuwałem w ich reakcjach gniewną zawiść — nie mogli darować pierwszeństwa w niezależności duchowej i odwadze. Dżilas należał do tej formacji komunistów, która wybierała komunizm w imię nonkonformizmu i buntu; dla nich komunizm był znakiem protestu i nadziei na świat równości i sprawiedliwości. Było trochę takich komunistów: Imre Nagy, Josef Smrkovsky, Frantisek Kriegel, Milan Šimečka, Robert Havemann. Ich biografie — niejednoznaczne, skomplikowane, często trudne do zrozumienia — wciąż czekają na historyków. Z pewnością jednak nie zasługują na wzgardliwe wzruszenie ramionami.

Ci komuniści miewali też dzieci. Syn Milana Džilasa, Alexa Džilasa, dość wcześniej odnalazł się w kręgu krytyków dyktatury w Belgradzie. Syn Laszlo Rajka, komunisty węgierskiego zamordowanego przez reżim Rakosiego po procesie pokazowym w 1949 r., też Laszlo Rajk, należał do ścisłego kręgu węgierskich dysydentów. Rudolf Slansky, syn i imiennik komunisty z wąskiego kierownictwa, skazanego w pokazowym procesie w 1952 r., był sygnatariuszem Karty 77. Paweł Litwinow, wnuk Maksyma, szefa sowieckiego MSZ w epoce Stalina, był wśród kilku mężnych Rosjan, którzy w sierpniu 1968 r. protestowali na Placu Czerwonym w Moskwie przeciwko interwencji w Czechosłowacji. W Polsce, poza Karolem Modzelewskim, można by znaleźć niemało dzieci z komunistycznych rodzin w kręgach opozycji demokratycznej. Skąd się to brało?

Komunizm miał różne twarze. Miał twarz tępego posłuszeństwa wobec partii, miał twarz okrutnego terroru; miał twarz zaślepionej, fanatycznej wiary w doktrynę. Ale miał też — powtórzmy — twarz nonkonformizmu i odwagi, buntu i marzenia.

Ci, których wychowywano w klimacie szacunku dla buntu i marzenia, nieuchronnie wkraczali na drogę sprzeciwu wobec dyktatury — choćby to przyprowadziło ich rodziców o lękliwe bicie serca.

VIII.

Karol i Jacek opuścili więzienie w 1967 r. — wiosną (Jacek) i latem (Karol). Zastali krajobraz polityczny odmienny; środowisko studenckie było rozpolitykowane na sposób opozycyjny. Przez Polskę przewalił się ostry konflikt między państwem a Kościołem. Tłem konfliktu był list biskupów polskich do biskupów niemieckich z pamiętnym zwrotem o przebaczeniu i z prośbą o przebaczenie. Uniwersytet Warszawski był zbulwersowany reakcjami władz partyjnych na przemówienie Leszka Kołakowskiego z okazji dziesiątej rocznicy Polskiego Października. Kołakowski i Krzysztof Pomian — drugi mówca — zostali usunięci z PZPR, co z kolei wywołało liczne protesty pracowników naukowych i literatów; wielu z nich także rozstało się z partią. Innym wydarzeniem była publikacja książki Adama Schaffa „Marksizm a jednostka ludzka” i towarzysząca jej debata. Ujawniły się wtedy głębokie podziały w tzw. froncie ideologicznym partii. Wszyscy czuli, że zbliża się moment przesilenia politycznego. Kampania prasowa towarzysząca „wojnie sześciodniowej” na Bliskim Wschodzie, a zwłaszcza przemówienie Gomułki, który nazwał Żydów w Polsce potencjalną „V kolumną” wskazywała na rozmiar kryzysu.

Karol i Jacek wyszli z więzienia nieco odmienieni. Dla nas, „komandosów” — jak nazwały nas władze partyjno-bezpieczniackie — byli naturalnymi przywódcami środowiska opozycyjnego. Obaj aprobowali to z pewną ostrożnością. Zwłaszcza Karol Modzelewski — dobrze to pamiętam — wyszedł z więzienia ja-

ko „rewolucjonista po przejściach”; teraz czuł ogromną odpowiedzialność za los swych młodszych przyjaciół i wyznawców. Obserwował pilnie i z troską politykę „zaciskania pętli” przez władze. Namawiał nas do umiaru, przestrzegał przed konsekwencjami, uświadamiał czarne scenariusze. Wszelako nie uchylał się od zaangażowania. Uczestniczył w proteście przeciw konfiskacie „Dziadów” na scenie Teatru Narodowego; brał udział w naszych potajemnych debatach; był autorem wielu haseł i ulotek.

Daleki był od euforii; dobrze wiedział, do czego zdolna jest władza. Rozumiał jednak nasze racje: nie mieliśmy innego wyjścia. Mogliśmy skapitulować i schować ogon pod siebie albo bronić publicznie swoich racji. Decyzja o zwołaniu wiecu 8 marca 1969 była nie tylko aktem obrony „Dziadów” Mickiewicza, nie tylko znakiem solidarności z protestami polskich pisarzy; nie tylko głośnym krzykiem o wolności demokratyczne — była to także forma naszej samoobrony. Nie chcieliśmy czekać aż nas — pojedynczo i po cichu — usuną z Uniwersytetu bezprawną decyzją ministra Henryka Jabłońskiego.

9 marca późnym wieczorem spotkałem Karola w celi przejściowej w piwnicy Pałacu Mostowskich, gdzie mieściła się komenda warszawskiej milicji i areszt. Powiedział do mnie wtedy ze smutnym uśmiechem: „No cóż, Adasiu, mamy oto spektakl »Dziadów« na prawdziwej scenie narodowej”.

Następnego dnia zawieziono nas obu do więzienia na ul. Rakowieckiej. Resztę „wypadków marcowych” obserwowaliśmy już z więziennej perspektywy. Jednak dla Karola — jak i dla nas wszystkich — śledztwo, później proces, w sprawie odpowiedzialności za te „wypadki” były formą udziału w tym największym proteście naszej generacji. W ciągu miesiąca zdławiono ruch studencki, który ogarnął całą Polskę. Teraz nadszedł czas na łamanie uwięzionych.

Wzory były znane i sprawdzone — procesy stalinowskie. Oczywiście była to miniatura pierwowzoru — nie było przecież tortur, wyroków śmierci. Jednak filozofia władzy była niezmienna — nie wystarczała kara kilku lat więzienia dla oskarżonych. Musieli oni przedtem być znieważeni i opluci, zohydzeni w oczach społeczeństwa, wykluczeni z wspólnoty narodowej. Mieli też oni — oczywiście — wyznać publicznie swoje winy, przyrzec poprawę i prosić o łagodny wymiar kary.

Mówiąc inaczej — mieliśmy wyrzec się godności, unicestwić się własnymi rękami. Oficerowie SB uczynili wiele, by taki był rezultat śledztwa i procesu. Sięgali po chywy podłe i prowokacje przemysłne; także po otwarty antysemityzm. Ale i tym razem trafiła kosa na kamień, czyli bezpieka na Karola i Jacka. Obaj znów byli niezłomni. Agent umieszczony w celi z Karolem pisał w raporcie dla oficera SB, że Modzelewski „jest zapalczywym przeciwnikiem Związku Radzieckiego”, że „Czechosłowacja wstępuje na właściwą drogę”, a „kolejnym krajem, który tak uczyni będzie Polska”. Trudno o lepszy dowód niezłomności ducha — Karol był przestępcą „nierokującym nadziei”. Podczas procesu obaj — Karol i Jacek — wzięli na siebie pełną odpowiedzialność za działania swoich młodszych przyjaciół. Obaj „grali własnym ciałem”; byli dowódcami, którzy nie wysyłali żołnierzy

pod kule, lecz szli w pierwszym szeregu. Tamten proces znów był wojną sumień. Prokurator — przez litość nie wymienił nazwiska tego łajdaka — cytował nazwisko panięskie matki Karola, by dowieść jego pochodzenia żydowskiego. Karol Modzelewski odpowiedział na to w sposób wart zapamiętania.

„Jakie znaczenie — pytał — w postępowaniu sądowym ma brzmienie panięskiego nazwiska mojej matki? Różne interpretacje są tutaj oczywiście możliwe. Po pierwsze czy ma to jakiekolwiek znaczenie prawne? Owszem, było takie państwo w Europie, w którym to miało znaczenie prawne, były takie ustawy, ale nie w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nie ma takiego prawa w PRL i nie będzie, żeby kryterium różnicowania obywateli było nazwisko matki, babki, dziadka. [...] Pierwszy raz w życiu zetknąłem się z taką argumentacją dlatego odpowiem na nią przy użyciu argumentu, którego dotąd nigdy w życiu nie chciałem używać. Otóż nikt z nas tu zasiadających ze swojej polskości legitymować się nie potrzebuje. Mówi się o chlebie, którego spożywanie w kraju ojczystym wiąże. Jest pewien gatunek chleba, który wiąże szczególnie silnie: jest to mianowicie w moim przekonaniu chleb więzienny. My smak tego chleba znamy. My go spożywamy czwarty rok, z niewielką przerwą, z rzędu. Spożywamy go po raz drugi z własnego, świadomego wyboru. To jest nasza legitymacja, której nie zrównoważy żadna legitymacja służbowa żadnego państwowego urzędu”. Jacek Kuroń był równie jednoznaczny. „Antysemityzm — mówił — nie jest u nas, jak sądzą niektórzy, problemem sztucznym. Jest problemem żywym, a jak żywym, widzieliśmy, gdy zaczęto sięgać do panięskich nazwisk matek. Istota tego antysemityzmu rasistowskiego sprowadza się do tego, aby przerzucić odpowiedzialność za grzechy systemu, za wady w funkcjonowaniu władzy, na obcoplemiennych. [...] W toku śledztwa oficerowie śledczy czynili duży wysiłek, aby także u mnie znalazło się wśród przodków jakieś żydowskie nazwisko. Gdy nie udało się zrobić ze mnie Żyda, chcieli bodaj uczynić ze mnie Ukraińca. Byleby móc mnie napiętnować jako obcoplemieńca.

Były takie dni w śledztwie, kiedy chciałem uznać się za Żyda. Są bowiem sytuacje kiedy uczciwy człowiek powinien uznać się za Żyda”.

Nawet dziś, po wielu latach, czytam wypowiedziane wtedy słowa Karola i Jacka ze ściśniętym gardłem. Dobrze pamiętam tamten czas trafnie określany przez Leszka Kołakowskiego jako „inwazja pluskiew”. Słowa Karola i Jacka, moich uwiecznionych przyjaciół, były policzkiem wymierzonym w mordę plugastwu epoki, w której partia komunistyczna uznała antysemityzm za swoją ideologię i swój program polityczny. To nie były słowa polityków — to mówili wychowawcy nowego pokolenia.

Są słowa, które ranią i zabijają. Takie słowa wypowiedział wtedy — w marcu 1968 r. — Władysław Gomułka w Sali Kongresowej pod adresem Pawła Jasienicy czy Antoniego Słonimskiego; także pod adresem polskich Żydów.

Ale są też słowa, które ocalają człowieczeństwo, przywracają do życia, chronią od rozpacz. Takimi były słowa wypowiedziane przez Karola i Jacka w sali sądu wojewódzkiego w Warszawie w styczniu 1969 r. Te słowa pozwalały żywić

pewność, że wygrana nienawiści i przemocy nie jest — i nie może być — ostateczna; że nie przegraliśmy swojego życia dochowując wierność wartościom, które deptano na naszych oczach. To była bardzo ważna lekcja. Słowa moich przyjaciół zapamiętałem na resztę życia.

IX.

Nie da się pisać o Karolu Modzelewskim nie pisząc o Jacku Kuroniu. Przez wiele lat byli jak polityczni bracia syjamscy. Dla jednych stanowili wspólny obiekt uwielbienia (np. dla moich przyjaciół i dla mnie), dla innych — wspólny symbol zagrożenia. W listopadzie 1964 r. zastępca Prokuratora Generalnego PRL — cytuję za znakomitą książką Andrzeja Friszke „Anatomia buntu” — tak ich charakteryzował: „Wydaje się, że od wielu lat nie było w kraju grupy przestępczej, składającej się z ludzi o takim poziomie intelektualnym, która by opracowała program, zawierający tak szczególnie nienawistne w stosunku do ustroju socjalistycznego tezy i sformułowania”. Sam Modzelewski pisał o Jacku Kuroniu w trzydzieści lat później:

„Najbliższy był mi zawsze Jacek Kuroń. Mam na myśli nie tylko to, że w 1965 r. i ponownie w 1969 r. zasiedliśmy we dwóch na ławie oskarżonych i zostaliśmy skazani za czyny popełnione wspólnie [...]; i nie tylko to, że w latach 1981–84 byliśmy obaj w [...] Jedenastce”, więzionej pod fantastycznymi zarzutami, faktycznie zaś za legalną działalność związkową. Mam na myśli przede wszystkim sprawdzone wielokrotnie [...] ogromne podobieństwo wartościowania, rozumowania i wniosków praktycznych. Rozumieliśmy się jak mało kto.

Można było posadzić nas w różnych pokojach i zadać to samo polityczne pytanie, a odpowiedź brzmiałaby niemal identycznie”.

Nie mam wątpliwości, że Jacek myślał tak samo o Karolu. Byli przyjaciółmi najbliższymi w sensie politycznym i ludzkim. A przecież zawsze byli odmienni.

Obaj, Karol i Jacek, mieli jakby po dwie dusze. Pierwsza z nich — wspólna — była duszą rewolucjonisty i człowieka lewicy. Łączył ich etos pierwszych polskich socjalistów, tych z „Proletariatu”, jak Ludwik Waryński; także tych z PPS czy SDKPiL, jak Kazimierz Kelles–Krauz, Róża Luksemburg czy Ludwik Krzywicki. To było im wspólne. Różniły ich „drugie” dusze.

Jacek Kuroń był w swej „drugiej” duszy pedagogiem, wychowawcą–pasjonatem. To skierowało go na drogę życiową wiodącą do harcerstwa. Karol Modzelewski był historykiem–pasjonatem, uczonym–mediewistą.

Jacek miał w sobie jakiś magnetyzm — jak magnes opiłki żelaza, tak on wciąż przyciągał do siebie ludzi; zwykle coraz młodszych. Był dla nich autorytetem, mentorem, nauczycielem, przyjacielem, opiekunem. Tkwił w nim żywioł, typowy dla przywódcy tłumów. Porywał te tłumy swoimi przemówieniami pełnymi żarliwości i wiary, pasji i gniewu. Był też Jacek człowiekiem bardzo towarzyskim,

trochę taki brat łąta. Uwielbiał być duszą towarzystwa, zawsze w centrum uwagi, słuchany i podziwiany.

Karol zawsze był inny. Jego sposób bycia, pełen uroku osobistego, krył w sobie szczególnego rodzaju arystokratyzm, dystans wobec świata, chłodny spokój, dyskrecję uczuć i doskonałą kontrolę własnych emocji. Mówcą był znakomitym, ale też innego rodzaju niż Jacek. Gdy wywód Jacka był emocjonalny, nierzadko nieco chaotyczny, to dyskurs Karola, w którym spokojna powaga łączyła się z niezrównaną inteligencją, przywodził na myśl maszynę do myślenia. Tak zapamiętałem ich obu z tamtych lat.

X.

Obaj opuścili więzienie jesienią 1971 r. Po marcowych czystkach, po interwencji w Czechosłowacji, po emigracji wielu przyjaciół, wreszcie po buncie robotników Wybrzeża, który zmiotł ze sceny ekipę Gomułki — Polska była innym krajem. Do władzy doszedł Edward Gierek. Moczar — symbol marcowego łajdactwa — został zmarginalizowany. Zmienił się język władzy; zamiast gróźb pojawiły się obietnice. Opozycja była swoiście rozbita. Wciąż istniało środowisko, ale nie istniały żadne formy aktywnych działań. Inteligencja lizła rany pomarcowe; społeczeństwo cieszyło się z gierkowskiej „odnowy”; przywódców strajkowych z grudnia 1970 r. stopniowo eliminowano. My, marcowi komandosi, po opuszczeniu więzień podejmowaliśmy jakieś prace zarobkowe, wznawialiśmy przerwane studia, konspirowaliśmy ostrożnie. Kolportowaliśmy publikacje emigracyjne, przemyciliśmy do „Kultury” paryskiej zapis magnetofonowy ze spotkania Gierka ze stoczniovcami Szczecina. Nie było tego wiele, ale też nikt więcej od nas nie oczekiwał. Karol i Jacek nie mieli w sobie nic z kombatanatów. Nie lubili wspominków; byli ludźmi czynu. Kiedy na polityczne czyny nie było żadnej koniunktury, uznali, że ich czynem będzie pisanie. Karol zajął się pisaniem o historii.

„Po obu więzieniach — opowiadał w 1985 r. Janinie Jankowskiej — wróciłem do pracy zawodowej z takim wygłodzeniem, że nie ciągnęły mnie nazbyt spotkania w starym gronie, siłą rzeczy kombatanckie”. Karol wyjechał do Wrocławia, gdzie otrzymał pracę w Instytucie Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk.

Był to zresztą rezultat jego oceny sytuacji politycznej. „Uważałem — opowiadał w tymże wywiadzie — że to, co robi Gierek, daje szansę na pewną stabilizację społeczną na znośnych warunkach. Po 68 roku, po Czechosłowacji, byłem skłonny brać pod uwagę nowy element, który niosły doświadczenia społeczne. Mianowicie, że wszelkie rewindykacje i wszelkie zmiany w Polsce powinny mieścić się w takich ramach, aby nie stało się naszym udziałem to, co spotkało Czechów, przedtem Węgrów, a jeszcze wcześniej Niemców wschodnich. Ponadto oceniałem jako ujemny bilans wydarzeń marcowych w Polsce, uważając, że straty poniesione przez kulturę i naukę polską były głębokie i trudno odwracalne. [...] Nie widziałem

konieczności, żeby kontestować podjętą przez Gierka próbę wyjścia z kryzysu „grundniowego”. Karol oczywiście wiedział najlepiej, dlaczego postąpił tak, jak postąpił; dlaczego odsunął się od „marcowych” przyjaciół politycznych, a w ich spotkaniach podejrzewał obecność jedynie kombatanctwa. Osobiście nie podzielałem tych nowych ocen Karola. Inaczej oceniałem bilans marca 68; inaczej oceniałem politykę Gierka. Sądziłem wtedy, być może niesprawiedliwie, że Karol po prostu miał dosyć życia w codziennym oczekiwaniu na bezpieczeństwo, miał dość kolejnych rewizji i zatrzymań, dość ciągłego ryzyka kolejnych lat więzienia. Chciał teraz żyć normalnie i pracować naukowo.

Byłem też przekonany, że nikt nie ma prawa stawiać Karolowi zarzutów z tego tytułu; pamiętam dość ostry spór z Jerzym Giedroyciem po jakiejś niemądrej notce w „Kulturze” o Karolu.

Z Jackiem było inaczej. Mieszkał nadal w Warszawie; pracował nad nową syntezą własnych przemyśleń o polityce i konfliktach społecznych. Jednocześnie pisywał — pod pseudonimami artykuły do pism emigracyjnych („Kultura”, „Aneks”) oraz katolickich („Znak”). Wtedy — sądzę — nastąpiło rozejście dwóch przyjaciół. Zachowali przyjaźń osobistą ale politycznie wybrali odmienne sposoby bycia — i życia. Aż do sierpnia 1980 roku.

W tym czasie Polska zmieniała się nieprzerwanie. Załamały się nadzieje związane z polityką ekipy Gierka. Pojawiły się protesty w sprawie więźniów politycznych (Czuma, Niesiołowski — sprawa „Ruchu”), w sytuacji Polaków w ZSRR, poprawek do Konstytucji. Pisarze zaczęli publikować książki w wydawnictwach emigracyjnych (Orłowski, Madej, Bierezin, Kazimierz Brandys). W czerwcu 1976 r. doszło do protestów robotniczych przeciw podwyżce cen, na co władze odpowiedziały represjami. Powstał Komitet Obrony Robotników, Polska znów zmieniała skórę.

Na wydarzenia te obaj przyjaciele reagowali odmiennie. Jacek Kuroń był aktywnym organizatorem akcji protestów konstytucyjnych i protestów przeciw antyrobotnicznej represji po czerwcu 1976 r. Był — wreszcie — najważniejszym członkiem KOR. Karol Modzelewski zaznaczył w owym czasie swoją obecność w życiu publicznym głośnym listem otwartym do Edwarda Gierka.

List do Gierka — natychmiast upowszechniony — był analizą sytuacji i perswazją wobec szefa partii. Był również sformułowaniem nowego pomysłu politycznego. Zgodnie ze swoimi wnioskami z 1971 r., Modzelewski pozostał na swój sposób wierny sobie i swojej trosce aksjologicznej o interes klasy robotniczej. „Sprawę robotniczą” lokował w kontekście „sprawy polskiej”, ale to „sprawa robotnicza” była kluczem do koncepcji reformatorskiej. Pamiętam, że czytałem ten list z zachwytem. Przebywałem wtedy w Paryżu, skąd śledziłem z fascynacją poczynania KOR i starałem się organizować wsparcie dla tych działań, apelując do europejskiej opinii publicznej. Bezcennym sojusznikiem w tych staraniach okazał się Leszek Kołakowski, który wykorzystywał swój wielki międzynarodowy autorytet. List Karola Modzelewskiego do Gierka odróżniał się od innych dokumentów

tamtego czasu realizmem politycznym — to, co proponował nie było maksymalizmem marzyciela. Potrafił argumentować językiem zrozumiałym dla rządowej nomenklatury; ten język mógł stać się językiem dialogu władzy ze społeczeństwem. Wcześniej nikt podobnych propozycji nie formułował.

Modzelewski zwracał uwagę na dwojaki rodzaj ograniczenia w polityce ekipy Gierka: „strukturalne” i „subiektywno-dogmatyczne”. Te pierwsze to system monopartyjny i „kierownicza rola partii komunistycznej”; wynikały z doktryny Breżniewa o „ograniczonej suwerenności”. Natomiast ograniczenia drugiego typu to „opory wynikające z tradycji autokratyzmu”, z rozpowszechnionej w aparacie władzy niechęci wobec wszelkich przejawów samodzielnej aktywności społecznej, tak bardzo komplikujących sprawowanie „kierowniczej roli”, wreszcie „ze starych schematów i dogmatów o ideologicznym charakterze”. Stare schematy spowodowały odstąpienie ekipy Gierka od — ocenianej pozytywnie przez Modzelewskiego — polityki pogrudniowej. Bowiem istotą tej polityki — zdaniem Modzelewskiego — był dialog z autentycznymi przedstawicielami załóg robotniczych. Usunięcie tych przedstawicieli ze struktur związkowych usunęło platformę dialogu. Władza przestała rozmawiać z załogami; zaczęła rozmawiać sama ze sobą. Wydarzenia z czerwca 1976 r. pokazały, że prowadzi to do konfliktów, które przybierają gwałtowne formy. „Brak dialogu nie zapobiega konfliktom, lecz uniemożliwia porozumienie”, a zarazem blokuje możliwość „pozyskania społecznej zgody na niepopularne, ale konieczne decyzje”. Podkreślał Modzelewski, że polityka represji wobec środowisk robotniczych i młodzieży akademickiej jest drogą donikąd. „Nikt — pisał — nie jest w stanie zapobiec przekształceniu się ewentualnego konfliktu władz z młodzieżą w powszechną konfrontację o nieobliczalnych następstwach. Ktokolwiek prowokowałby taki konflikt, czy to ze ślepej wiary w skuteczność represji, czy dla prywaty, politycznych rozgrywek jest podpalaczem wspólnego domu, którego działanie nosi znamiona zdrady narodu”. Ta elegancka formuła ozna-
czała groźbę sowieckiej interwencji.

Zaś taki finał — tłumaczył Modzelewski Gierkowi — nie leży w interesie społeczeństwa, nie leży w interesie ekipy Gierka, ani też Kremla. „Wobec tego — konkludował — istnieje szansa i paląca konieczność poszukiwania wyjścia realistycznego, czyli takiego, które byłoby do przyjęcia dla wszystkich”. Deklarując się jako zwolennik pluralizmu politycznego, sądził, że „nadrzędne wartości bytu narodowego wymagają podporządkowanie postulatów maksymalistycznych wymogom politycznego realizmu”.

Proponował zatem poszerzenie marginesu swobód obywatelskich, szerokie korzystanie z rad ekspertów, a przede wszystkim — trwały dialog z autentycznymi reprezentantami załóg robotniczych. Służyć temu miała autonomizacja związków zawodowych w ich roli obrońcy interesów pracowniczych. Do tego potrzebna jest dyskusja i krytyka, a także „zmiana zwyczajów wyborczych”.

Tym refleksjom towarzyszyły sugestie dotyczące konkretnych zmian instytucjonalnych. Tekst utrzymany był w tonie rzeczowym, perswazyjnym, nacechowa-

nym dobrą wolą. Jednak perswazji towarzyszyła przestroga: „wewnętrzne siły władzy nie wystarczą do rozstrzygnięcia przemocą starcia z całym społeczeństwem”.

Edward Gierek nie zareagował na list Modzelewskiego.

XI.

W VIII stuleciu, gdy frankijscy zdobywcy przynieśli Sasom i Fryzom na ostrzach włóczy nową wiarę i nowy ład, zastali w podbitych krajach barbarzyńskich plemiona zorganizowane już nieco inaczej.

Po kapitulacji i chrzcie Widukinda w 785 r. Karol Wielki uznał, że może w podbitym kraju przeprowadzić wszystko, co zechce. Ale na samych włóczy, które wystarczyły do zwycięstw orężnych, nie udało się usadzić nowego systemu rządów. W 797 r. Karol Wielki już wiedział, że przed dwunastu laty policzył siły na zamiary. Teraz rozumiał, że jego ręce są wciąż za krótkie na skuteczne administrowanie podbitym krajem. Trzeba było uznać realia i tam, gdzie nie dało się kontrolować życia codziennego i wymuszać posłuchu przez własnych ludzi, zdać się na funkcjonowanie lokalnych społeczności saskich, zgodnie z ich odwieczną tradycją prawną.

Karol Modzelewski, „Barbarzyńska Europa”

List Modzelewskiego do Gierka wzbudził sporo komentarzy. Rady oferowane Gierkowi, najpewniej zaczerpnięte również z wiedzy o rządach Karola Wielkiego, prowokowały i komplementy, i krytyki.

Zapamiętałem artykuł Romana Zimanda (publikowany chyba pod pseudonimem), gdzie list Modzelewskiego, „polityka dojrzałego i odpowiedzialnego”, przeciwstawiany był radykalizmowi Jacka Kuronia.

Jacek Kuroń — dobrze to pamiętam — powiedział: „Karol tłumaczy im, co zrobić powinni; ja wyjaśniam im, co będą musieli zrobić”. Inni „korowcy” powtarzali, że minął już czas suplik do władzy; że nadszedł czas twardych żądań i tworzenia faktów dokonanych. Osobiście sądziłem, że zasadniczą rację mieli „korowcy”. To oni przecież budowali nowy język nowych czasów. Z jednej strony nie podpalano już komitetów partyjnych, lecz zakładano własne, z drugiej strony nie proszono już władz o zgodę na wydawanie niezależnego pisma, lecz takie pismo tworzone i rozpowszechniano poza zasięgiem cenzury.

Zarazem jednak — tu widziałem wielką wartość listu Karola Modzelewskiego do Gierka — nie można było myśleć realistycznie i perspektywicznie o zmianie i reformie, nie myśląc jednocześnie o dialogu między władzą a społeczeństwem. Karol Modzelewski proponował język takiego dialogu. Nie był to już język rewolucjonisty, który mierzy siły na zamiary, lecz język reformatora, który mierzy zamiar podług sił.

Korowcy twierdzili, że był to język — supliki do władzy — dnia wczorajszego; ja byłem zdania, że przestrzegając przed polityką represji i ujawniając ich możliwe konsekwencje, lokował się w czasie teraźniejszym. A nawet więcej: Karol Modzelewski formułował język czasu, który nadchodził; czasu negocjacji zorganizowanego społeczeństwa z władzą komunistyczną, czasu strajków sierpnia 1980 r. i porozumień gdańskich; czasu „Solidarności”.

XII.

Aby odnieść trwale zwycięstwo i spacyfikować podbity kraj, Karol Wielki musiał zniszczyć fizycznie najbardziej nieprzejednanych wśród starszyny, a pozostałych edelingów pozyskać do współpracy. [...].

Nie minęły dwa pokolenia od karolińskiego podboju Saksonii, a podstawami nowego ładu wstrząsnęła społeczna rewolta zwana powstaniem stellingów.

Karol Modzelewski, „Barbarzyńska Europa”

Rewolta wybuchła w sierpniu 1980 r. i zakończyła się słynnym kopromisem gdańskim. Karol Modzelewski od początku zaangażował się w ruch „Solidarności”. Było to szesnaście miesięcy działania a potem trzydzieści miesięcy więzienia. Te miesiące uznał za „czas najważniejszy” w życiu. Należał z pewnością do najbardziej wyrazistych osobowości tego ruchu. I był jednym z najciekawszych intelektualistów „Solidarności”. Odróżniał się na tle podziałów na „radykałów” i „realistów”. Nie był ani jednym, ani drugim — bądź też i jednym i drugim. Postrzegałem Karola Modzelewskiego z perspektywy osobistej. Było dla mnie oczywiste, że definiowanie jego linii politycznej przez pryzmat słów „Bój to ich będzie ostatni...” jest nieporozumieniem, bądź nieuczciwością. Te słowa, wypowiedziane przezeń 3 grudnia 1981 podczas konferencji Komisji Krajowej w Radomiu, zostały zmanipulowane przez wyrwanie ich z całego wywodu i ze środka zdania. Pełne zdanie brzmiało: „musimy im jasno powiedzieć, że bój to ich będzie ostatni — i to jest sprawa tego strajku, którego tu odpuścić, groźby strajku, jeżeli nastąpi ten stan wyjątkowy, której tu odpuścić nie wolno, i to musi być w uchwale”. Skomentował to po kilku latach: „W montażu rozpowszechnionym od 6 XII 1981 r. przez radio i telewizję zdanie to usuwano w połowie, pozostając słowa »Musimy im jasno powiedzieć, że bój to będzie ich ostatni« bez ciągu dalszego. W ten sposób uzyskano całkowitą zmianę sensu. Wniosek, by umieścić w uchwale wyraźne ostrzeżenie, że związek w obronie własnej zareaguje na stan wojenny strajkiem generalnym, przekształcono za pomocą nożyczek i kleju w wezwanie do ostatecznego rozprawienia się z komunistami. Tak spreparowane wezwanie stało się ulubionym motywem »czarnej propagandy« stanu wojennego”.

Inaczej mówiąc — słowa strawestowanej „Międzynarodówki” pozwoliły propagandzie komunistycznej całkowicie zafałszować przesłanie Modzelewskiego. Tymczasem sens tego przesłania był inny, zrodzony z analizy sytuacji.

Modzelewski od początku (od września 1980 r.) miał jasność: by móc zawierać kompromisy, związek musi dysponować siłą. Dlatego musi to być związek ogólnopolski, a nie wiele związków regionalnych; ma mieć jedną centralę i jedno kierownictwo. Tylko w ten sposób można uniemożliwić manipulowanie, skłócanie, rozbijanie ruchu związkowego od środka. Tylko solidarność międzyregionalna da związkowi siłę — stąd związek powinien mieć nazwę „Solidarność”.

O tę filozofię Modzelewski stoczył ostry spór jeszcze we wrześniu 1980 r. w Gdańsku. I zwyciężył w tym sporze z legendarnymi przywódcami strajku

w stoczni i z ich doradcami. „Solidarność” miała przeto siłę. Jednak tą siłą należało posługiwać się rozumnie i ostrożnie. Dlatego — od początku — Modzelewski przestrzegał przed radykalizmem emocjonalnym, a jeszcze bardziej przed demagogicznym pustosłowiem. Replikując jednemu z radykałów, tłumaczył w sierpniu 1981 r., że „idąc na całość”, to znaczy proponując „pełną demokrację parlamentarną”, system wielopartyjny i wolne wybory, ów radykał przeoczył „rzecz najważniejszą”. „Nie można — mówił Modzelewski — na zebraniu najwyższej władzy związkowej proponować programu, który równa się wypowiedzeniu wojny tej władzy, temu systemowi i jej międzynarodowym sojusznikom, w gruncie rzeczy, w moim przekonaniu przynajmniej, równa się wypowiedzeniu przez nas wojny Związkowi Radzieckiemu — bez powiedzenia, że to pociąga za sobą takie konsekwencje, i bez powiedzenia jakie są szanse. Wydaje mi się, że takiej wojny wypowiadać nam nie wolno i dlatego to piękne skądinąd hasło kojarzy mi się z pieśnią, którą często słyszałem w mojej młodości, tzn. ze słowami: »bój to będzie ostatni...«, bo to rzeczywiście byłby ostatni nasz bój. I tej władzy, i tego związku, i na długo tego narodu”.

Rzecz znamienna — tego cytatu z „Międzynarodówki” krytycy Karola Modzelewskiego nie przytaczali...

XIII.

Materialna pozycja możnych opierała się głównie na udziale w dochodach z danin publicznych, który im przysługiwał z tytułu sprawowania wysokich urzędów. Mianowanie, odwoływanie, przenoszenie i awansowanie urzędników — było niekwestionowaną prerogatywą panującego. Uważano jednak, że powinien on dobierać kandydatów wyłącznie z kręgu arystokracji; która w związku z tym traktowała daniny ludności na rzecz państwa jako dobro wspólne. Uszczuplanie tego dobra przez immunitet natrafiało więc na trudny do przezwyciężenia opór, gdyż sprzeciw bezpośrednio poszkodowanego dostojnika znajdował przychylny oddźwięk w szerokich kręgach grupy rządzącej.

Karol Modzelewski, „Barbarzyńska Europa”

Modzelewski rozumiał realia geopolityczne, ale ogarniał głębię kryzysu wewnętrznego. Wiedział przeto, że rząd musi przeprowadzić podwyżki cen i inne cięcia w gospodarce. Wiedział jednak również, że „Solidarność” może na to przystać — i przekonać do tego ludzi jednie za cenę zasadniczej reformy gospodarczej. Istotą tej reformy miał być samorząd. Dlatego przestrzegał przed uwikłaniem „Solidarności” w konflikty zastępcze, nieprzerwanie prowokowane przez władze. Tak było poczynając od tzw. kryzysu rejestracyjnego poprzez głośne aresztowanie Jana Naroźniaka aż po liczne konflikty lokalne, które wymuszały strajki bądź ogłaszanie gotowości strajkowej. Wiedział, że trzeba koncentrować się na najważniejszym. 23 listopada 1981 w Fabryce Automatów Tokarskich we Wrocławiu Modzelewski obszernie wyjaśniał istotę swojego rozumowania:

„W walce o Samorząd — mówił — »Solidarności« chodzi o reformę demokratyczną a władzy o utrzymanie nomenklatury partyjnej. Kto ma powoływać dyrekto-

ra: rada pracownicza czy centralny organ administracji?” To jest sprawa kluczowa. Jeśli bowiem wybór pozostanie w rękach nomenklatury, „to nie zmieni się sposób obsady kadry kierowniczej w przemyśle”. Kryterium będzie takie: „człowiek ma być swój i ma być posłuszny”. „Jest to bardzo istotny — mówił Modzelewski — przywilej władzy, przywilej obsadzenia stołków dyrektorskich swoimi ludźmi. [...] Jeżeli to pozostanie, to nadal kwalifikacje fachowe kadry kierowniczej będą takie, jakie były dotychczas”. Odpowiedź władzy — wedle Modzelewskiego — brzmiała: „naszego monopolu na obsadzanie stołków dyrektorskich będziemy bronić nawet kosztem niepodległości Polski”. A za tą deklaracją szła groźba użycia siły. Odpowiedzią „Solidarności” było żądanie ogólnonarodowego referendum w tej sprawie. Był to jednak — tak to zapamiętałem — nacisk na szukanie rozwiązań kompromisowych, a nie decyzje o konfrontacji z władzą. Karol Modzelewski nie chciał konfrontacji. Uderza dzisiaj, jak bardzo był wierny swej prorobotniczej aksjologii z epoki „Listu otwartego” do partii i swej geopolitycznej aksjologii z „Listu otwartego” do Edwarda Gierka. W jego myśleniu zmiana przeplatała się z kontynuacją.

W miesiącach karnawału „solidarnościowego” Karol Modzelewski był — odtworzam ówczesne wrażenia — radykałem szczególnego rodzaju. Był radykałem rozumnym i odpowiedzialnym; rzecz by można — radykałem ostrożnym i umiarkowanym, wolnym od agresywnego zaślepienia i dążenia do konfrontacji. Ale obca była mu postawa, która całą strategię władzy „Solidarności” sprowadzała do uspokajania nastrojów. Rozumiał, że porozumienia gdańskie, które powołały „Solidarność” do życia, nie były finałem zmian systemowych, lecz ich początkiem. Był — trawestując słowa gen. Wojciecha Jaruzelskiego wypowiedziane w innym czasie — „taktycznym gołębiem i strategicznym jastrzębiem”. Radykalizm Karola Modzelewskiego polegał na przekonaniu, że władza musi mieć świadomość siły „Solidarności”, bowiem komuniści liczą się tylko z siłą. Rozumiał, że samo istnienie „Solidarności” zdekomponowało państwo komunistyczne i zablokowało jego normalne funkcjonowanie. Mechanizmy tego państwa, wypróbowane w systemie dyktatury, okazały się bezużyteczne, gdy społeczeństwo — dzięki „Solidarności” — zaczęło przemawiać własnym głosem. Stąd potrzeba reformy państwa, która umożliwi mu funkcjonowanie w nowym otoczeniu. Stąd też warunkiem koniecznym była instytucjonalizacja dialogu poprzez samorząd pracowniczy i terytorialny.

Modzelewski był politykiem twardego realizmu, ale był też człowiekiem zasad i wartości. Żywił przeświadczenie, że „Solidarność” tylko wtedy będzie promieniować wartościami demokratycznymi, jeśli sama będzie je respektować. Objaśniał to podczas posiedzenia Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” 1 kwietnia 1981 w Gdańsku, po kryzysie bydgoskim, gdy decyzję o odwołaniu strajku generalnego podjęto w wąskim gronie kierownictwa i ekspertów związku skupionych wokół Lecha Wałęsy. Mówił wtedy, że „chodzi o mechanizm decyzyjny w związku. Albo to będzie związek samorządny, albo on nie będzie niezależny”.

Krytykował sytuację, w której „zespoły doradcze” odgrywają kluczową rolę w systemie decyzyjnym „odsuwając, sprowadzając właśnie do parawanu czy też do funkcji dekoracyjnej Krajową Komisję Porozumiewawczą”.

Nie negował, że strajk generalny powinien zostać odwołany, a „niedobre” porozumienie z władzami powinno zostać zaakceptowane. Określił jako „samobójcze” atakowanie Wałęsy z zamiarem usunięcia go ze stanowiska przewodniczącego związku, gdyż — mówił — „Wałęsa jest symbolem w oczach milionów ludzi tego związku i jego jedności”. „Kluczem do wszystkiego — powtarzał uparcie — jest mechanizm decyzji, który jest mechanizmem monarchicznym. I tu nie chodzi o charakter Lecha ani o jego podejrzliwość osobistą — bo on rzeczywiście podejrzewa, że każdy pod nim ryje [...], ale chodzi o związek, który miał przywódcę obdarzonego takim autorytetem od Sierpnia i który nie ma możliwości — bo był słaby organizacyjnie — ustalić precyzyjnego mechanizmu decyzyjnego [...] Ten związek tak się ukształtował, że jest [...] król po prostu, koło króla jest dwór, a oprócz tego jest parlament. A ponieważ to nie jest malowany król, to rządzi dwór, a nie parlament. I ja wolę to nazwać tym razem po imieniu.

Otóż dlaczego uważam, że jest w tym ogromne zagrożenie dla związku? Dlatego, że ten mechanizm się będzie nasilał. Będzie się nasilał [...], gdy krytyka tego systemu decyzyjnego będzie uważana za spisek, atakowanie Wałęsy, atakowanie związku, próbę przejęcia władzy nad związkiem przez taką lub inną siłę, przez taką lub inną konspirację. Jest to mechanizm myślenia totalitarnego, który dla tego związku jest zabójczy i który ten związek może [...] przekształcić w przybudówkę [partii komunistycznej]”.

Taki był sens ówczesnego radykalizmu Karola Modzelewskiego — wobec władzy i wobec „Solidarności”. Niech będzie mi wybaczone posługiwanie się tą etykietką — „radykał”. „Naklejanie etykietek — pisał później prof. Modzelewski — grozi wprawdzie popadnięciem w historiograficzne schematy, ale pełni ważną rolę komunikacyjną: pozwala czytelniej wyodrębnić i łatwiej rozróżnić rozbieżne wizje przeszłości”.

Otóż radykalizm Modzelewskiego był radykalizmem reformatora, a nie rewolucjonisty. Z rewolucjonisty została mu już tylko odwaga — także odwaga myślenia. I może jeszcze typowe dla rewolucjonistów przekonanie, że za słowami powinny iść czyny. Swoją krytyczny wywód Modzelewski zakończył złożeniem dymisji z funkcji rzecznika Krajowej Komisji „Solidarności”. „Każdy ma tylko jedno nazwisko — powiedział — i ja też. Nie wszystko tym nazwiskiem mogę firmować”. I jeszcze dodał, że zostaje w związku; że nie dezerteruje z tonącego statku. I tak już zostało. Nigdy — aż do dziś — Karol nie firmował swoim nazwiskiem niczego, czego nie aprobował. I nigdy nie dezerterował; nigdy nie uciekał z tonącego statku. „Solidarność” była dlań wielką wartością; łączyła w sobie troskę o sprawę robotniczą, o sprawę polską, o sprawę wolności. Tę troskę — i pasję solidarnościową — dzielił z Jackiem Kuroniem. W epoce „Solidarności” znów zbiegły się ich drogi — obaj zaangażowali się w „Solidarność” całym sercem.

Różny był ich status w „Solidarności”. Jacek był najbardziej diabolizowany — przez wszystkich. Diabolizowała go władza i prasa sowiecka; nie lubił go Kościół; radykałowie uważali za mięczaka, a umiarkowani za radykała; nie ufali mu doradcy; nie ufał mu Wałęsa. Karol nie wzbudzał tyle wrogości, ale płacił za przyjaźń z Jackiem; chętnie go z nim identyfikowano. Nigdy nie odzegał się od Jacka, choć z pewnością nieraz miał inne zdanie. Nie byli naiwni; obaj wiedzieli, że rozpacz i desperacja nie są dobrymi doradcami. Dlatego do końca epoki „Solidarności” — mając pełną jasność, że Polska stoi przed wyborem między kompromisem, a bagnetem — szukali kompromisu pozostając wierni nadziei. Gdy generałowie wybrali bagnet, oni — uwięzieni i bezsilni — pozostali wierni nadziei. Wierzyli uparcie, że głupio jest żyć bez nadziei.

XIV.

Po opuszczeniu więzienia (1984 r.) powrócił do pracy naukowej, ale nie zaniedbał kontaktów z „Solidarnością” zepchniętą do podziemia. Z tego okresu pochodzą dwa ważne jego teksty: obszerny opis działań „Solidarności” zatytułowany „W przededniu wojny” („Krytyka” nr 27, 1986) oraz wywiad przeprowadzony przez Janinę Jankowską („Krytyka”, nr 26). W swych obrachunkach był — jak zazwyczaj — chłodny i wolny od emocji. Powtarzał swoje zasadnicze przekonania z epoki „burzy i naporu”: o szukaniu kompromisu „Solidarności” z władzą w ramach doktryny Breżniewa, o potrzebie instytucjonalizacji dialogu. Czy kompromis był możliwy? „Na szczeblu centralnym — pisał — w grę wchodzić mogło tylko zastąpienie polityki komenderowania przez zinstytucjonalizowane formy uzgadniania kluczowych decyzji gospodarczych, na niższych zaś szczeblach przyznanie praw decyzyjnych w ramach reformy gospodarczej demokratycznie wybranym samorządom pracowniczym i terytorialnym”. Jednak dla władzy — wyjaśniał Modzelewski — porozumienia sierpniowe były jak „pokój brzeski” dla bolszewików: „wymuszony i prowizoryczny pakt z kontrewolucją, którą należy zlikwidować, gdy tylko uda zmienić się układ sił”. Dążono do tego przez prowokowanie konfliktów i rozbijanie „Solidarności” od wewnątrz przez stosowanie taktyki „sałami”.

„Mechanizm był taki — opowiadał Modzelewski Jankowskiej — cała warstwa uprzywilejowana czasów gierkowskich nie budowała sobie pałacików na Marszałkowskiej, Piotrkowskiej czy we Wrocławiu na Świerczewskiego, tylko w atrakcyjnych miejscowościach Polski B. To są te kreowane z powiatów nowe województwa, gdzie ludzie nadal żyją w powiatowym gnoju, gnębieni przez kliki, tyle, że te stały się już wojewódzkimi, z lepszymi koneksjami. Tereny niedoinwestowane, ze straszliwymi szpitalami, gdzie kobiety rodziły między wychodkiem a schodami, gdzie były mniejsze zarobki, a większe zastraszenie przez miejscowe siły i gdzie pod nosem mieszkańców wyrastały, na zasadzie »rączka rącz-

kę myje«, luksusowe wille jak »Granit« (Jelenia Góra), z miedzianymi rynnami, basenami, ogrodzone, specjalne wjazdy, itp. Oni na to patrzyli codziennie. Kiedy ci ludzie uzyskali możliwość zbudowania własnej organizacji, ona stała się ich instrumentem. Oni już to wiedzieli. I wtedy ich pierwszym niepowstrzymanym pragnieniem było wzięcie odwetu na miejscowych kacykach. To był ruch odwetu socjalnego, mało znany w wielkich ośrodkach przemysłowych. Ruch odwetu socjalnego był związany z geografią Polski. Bielsko, Jelenia Góra, Nowy Sącz, Piła, Suwałki. Myśmy się starali temu przeciwdziałać, bo w sumie dla związku jako całości były to konflikty niebezpieczne. Jest bardzo charakterystyczne, przeciwko jakim symbolom zwracał się ten ruch. Zawsze chodziło o przejęcie na cele społeczne budynków typu sanatorium partyjne, MSW lub gmach komendy wojewódzkiej. Staraliśmy się ten ruch powstrzymywać, ale to było bardzo trudne”.

Taki był ludzki kontekst konfliktów w Polsce prowincjonalnej. Mimo to — lub właśnie dlatego — „liczyliśmy — opowiadał Modzelewski — na to, że stanowcza zapowiedź samoobrony strajkiem generalnym i stosowne przygotowania pozwolą zablokować w Sejmie projekt ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych. [...] Sądziliśmy, że może to powstrzymać rząd przed próbą sił w grudniu, choć prawdopodobnie nie zmusi go do wycofania się z prowizorium. Wówczas jednak drastyczne podwyżki cen uderzające we wszystkich scementowałyby ponownie aktywną część związku z »milczącą większością«. Związek nie musiał forsować postulatów politycznych strajkiem generalnym. Gdyby nie stan wyjątkowy, „Solidarność” byłaby zdolna w I kwartale 1982 r. zwykłymi strajkami ekonomicznymi udaremnić realizację postanowionej przez rząd polityki gospodarczej. Miało to w naszym rozumieniu zmusić władze do poważnych rozmów, a wtedy minimalne warunki porozumienia narodowego określone w radomskiej uchwale, stałyby się przedmiotem negocjacji. Niestety, rząd rozumiał to nie gorzej od nas. [...] Ekipa Jaruzelskiego porzuciła więc ten projekt na rzecz wojskowego zamachu”.

Było to zaskoczeniem dla kierownictwa „Solidarności” (w tym dla Modzelewskiego). „Nic nas nie rozgrzeszy — pisał w 1986 r. — z odpowiedzialności za to, że daliśmy się zaskoczyć i dopuściliśmy do zaskoczenia związku. Przywódcy »Solidarności« okazali brak przenikliwości nie sięgając w swych przewidywaniach poza sejmową, konstytucyjną wersję stanu wyjątkowego. A przecież wiedzieliśmy, że droga konstytucyjna, m.in. wskutek naszych własnych poczynań, nastęrcza ekipie Jaruzelskiego ograniczone trudności polityczne, jednocześnie wielu z nas dostrzegało, że użycie siły jest logicznym dopełnieniem polityki rządu. W ocenie układu sił zabrakło nam tego typu wyobraźni, który jest zawodową domeną wojskowych. Bodaj nikt nie przewidział, że do złamania strajku przy biernym oporze załóg wystarczy manewrować stosunkowo szczupłymi, ale pewnymi jednostkami ZOMO, nie wprowadzając wojska do akcji bezpośredniej. Bardziej obawialiśmy się zbrojnej interwencji z zewnątrz, choć wielu z nas zdawało sobie sprawę, że osłabienie zwartości i determinacji związku daje władzom szansę użycia przemocy własnymi środkami”. Ta gorzka, autokrytyczna analiza własnej porażki nie prowa-

dziła jednak Modzelewskiego do fatalistycznych stwierdzeń, że każda próba demokratyzacji systemu skazana jest na klęskę zadekretowaną przez Kreml. „Osobiście — pisał — nie wierzę w fatum i nie sądzę, że bez zmiany politycznej mapy świata oraz obalenia komunistów niepodobna osiągnąć istotnych zmian. W każdym razie strategia »Solidarności« oparta była przez 16 miesięcy na praktycznym, a nie teoretycznym założeniu, że jest to osiągalne”. Postulował zatem taką politykę opozycji, która „respektując wymóg geopolityki, tzn. pozostawienie komunistów u steru rządów państwa, **detotalizuje** komunistyczną władzę”.

Rekonstrukcja myślenia politycznego Karola Modzelewskiego wskazuje, że nie zastępował refleksji analitycznej retoryką moralnego oburzenia — co wielu z nas czyniło nagminnie. Modzelewski pisał tak, jakby mówił do nas: jestem z wami, ale nie do absurdu. Istnieje granica zdrowego rozsądku — nie przekraczajcie jej!

Żądanie wyborów parlamentarnych było przekroczeniem granicy.

XV.

Uważaliśmy podobnie — Wałęsa i Bujak, Geremek i Mazowiecki, Kuroń i Frasyniuk, także bracia Kaczyńscy. Logika wyводу Modzelewskiego była nieodparta, ale prognozy okazały się nietrafne. Droga do kompromisu okazał się projekt wyborów do Sejmu i Senatu wypracowany przy Okrągłym Stole.

Kompromis Okrągłego Stołu wzbudził wiele krytyk wśród radykalnego odłamu opozycji. Liderów „Solidarności Wałęsowskiej” oskarżano o naiwność (dali się nabrać na obietnice komunistów), lub o zdradę (zgodzili się na pół-demokrację). Radykałowie wezwali do bojkotu wyborów. Karol Modzelewski, kandydat obozu „Solidarności” do Senatu, opublikował wtedy dwa ważne artykuły, w których polemizował ze zwolennikami bojkotu. Świadom ryzyka uważał, że próba przełamania kryzysu państwa nie jest beznadziejna. Dlatego bojkot — powtórka taktyki z lat dyktatury — uważał za błąd. I do Senatu, i do Sejmu — na 35 proc. miejsc mandatowych — kandydaci „Solidarności” będą rywalizować z kandydatami władzy. Bojkot osłabia szanse obozu „Solidarności”, a zwiększa szanse obozu władzy — to jest oczywistość.

Dla Polski pojawiła się szansa, także dzięki koniunkturze międzynarodowej — pisał w przeddzień drugiej tury. Tę szansę warunkuje „zdolność nas wszystkich do trzeźwego myślenia o polityce”. Droga parlamentarna będzie wymuszać zawieranie sojuszy — choćby okresowych — z innymi partiami. Także obóz władzy będzie różnicować się wewnętrznie na tle stosunku do reform. Dlatego kolejne wezwania do bojkotu wyrażają groźny schemat myślowy: „z jednej strony my, wyposażeni w wyłączny mandat narodu, z drugiej zaś czerwony monolit, który powinniśmy taranować. Taki sposób widzenia sytuacji nie wskaże nam ewolucyjnej drogi do demokracji, lecz drogę do nowego stanu wojennego. Kto w obawie o złe pojętą

wiarygodność uchyla się od rozmowy z wyborcami na temat politycznej gry, jaką musimy podjąć w parlamencie, temu nie dostaje odwagi cywilnej, nieodzownej dla mandatariusza społeczeństwa”.

Tak brzmiało *credo* polityczne Karola Modzelewskiego w czerwcu 1989 r.

Jacek Kuroń — a ja zresztą również — myślał w tamtym czasie dokładnie tak samo. Szliśmy do wyborów czerwcowych świadomi ryzyka, ale uskrzydleni szansą dla Polski. 5 czerwca przeżyliśmy szok totalnego zwycięstwa. Miałem wtedy wrażenie, że drogi obu przyjaciół — Jacka i Karola — znów zbiegły się na wspólnej szosie do wolności. Jeśli tak było — to na bardzo krótko. Wnet ujawniła się zasadnicza odmienność ich opinii.

6 lipca Karol Modzelewski skrytykował pomysł przejęcia przez obóz „solidarnościowy” stanowiska premiera i sformowania rządu. Ten pomysł sformułowaliśmy publicznie wspólnie z Jackiem Kuroniem — Jacek na posiedzeniu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, a ja na łamach „Gazety Wyborczej”.

Modzelewski, z właściwą sobie żelazną logiką dowodził, że — po pierwsze — MSZ, MON i MSW muszą pozostać obsadzone przez komunistów i to takich, „którzy mają poparcie wojska oraz nie budzą nieufności w Układzie Warszawskim”. Po wtóre — rząd taki musiałby opierać się na większości parlamentarnej, zatem od „wielkiej koalicji” proponowanej przez generała Jaruzelskiego różniłby się tym tylko, że „Solidarność” otrzymałaby stanowiska premiera zamiast wicepremiera, i nieco więcej resortów. „Jest to jednak różnica raczej ilościowa niż jakościowa”. Po trzecie — powierzenie teki premiera politykowi „Solidarności” nie zmieni stosunku aparatu władzy do ministrów z opozycji: „faktycznie niczym byśmy nie rządzili, a za wszystko odpowiadali”. „W tych warunkach — dowodził Modzelewski — posłuch aparatu rządowego może zagwarantować »naszemu« premierowi tylko »ich« prezydent. [...] Oznacza to jednak, że [...] skupi on w swoim ręku także wszystkie nici władzy wykonawczej. Premier i ministrowie rządziliby o tyle, o ile prezydent poprzez interwencje u podwładnych zapewniałby wykonywanie decyzji rządu. Rada Ministrów sprawowałaby władzę koncesjonowaną, jeśli nie wręcz pozorną, ponosząc zarazem nieograniczoną odpowiedzialność za skutki katastrofy gospodarczej, spowodowanej przez poprzedników”.

Wszystko to razem przypominało Modzelewskiemu „rozwiązywanie kwadratury koła”. Czytając wtedy ten artykuł pomyślałem, że konkluzja jest logiczna, ale mało pożywna. Karol Modzelewski miał zresztą zastrzeżenia nie tylko do istoty pomysłu. Po roku, w trakcie ostrej kampanii prezydenckiej, krytykując autorytarne skłonności Wałęsy, napisał: „Przypomnę ubiegłoroczny spór wokół koncepcji Michnika »wasz prezydent — nasz premier«. Znaczna część OKP uważała, że powinniśmy pozostać w opozycji, bo nie mamy programu gospodarczego, bo zbyt silne pozycje w naszym rządzie muszą zachować komuniści, podczas, gdy na nas spada zbyt wielka odpowiedzialność itp. W rozmowie z jednym z naszych posłów, dziś działaczy ROAD, a wówczas gorącym zwolennikiem formowania rządu pod egidą »S« wyraziłem pogląd, że większość OKP jest temu przeciwna. W odpowie-

dzi usłyszałem, że to nieważne, bo za tworzeniem rządu jest Lech”. Tym „gorącym zwolennikiem” byłem ja...

Przypominam dość szczegółowo tamten spór nie po to, by dowodzić kto miał wtedy rację. Próbuję pokazać pewną cechę sposobu rozumowania Karola Modzelewskiego; jego konsekwencję i wierność własnej logice intelektualnej. W to myślenie wpisany był trwale zmysł odpowiedzialności, czyli realizm geopolityczny i szacunek dla obyczaju demokratycznego. Taka tradycja myślowa uformowała dyskurs Karola Modzelewskiego po 1971 r.; władza miała pozostać w rękach partii komunistycznej, a decyzje gremiów opozycyjnych miały zapadać dzięki demokratycznej większości. Zawsze byłem pełen szacunku dla tych cech pisarstwa i zachowania publicznego Karola. I rozumiałem, że w jego ocenie obie te wartości zostały naruszone w trakcie sporu o tworzenie rządu. A zarazem mieliśmy — obaj z Jackiem — przekonanie, że w tej wierności tradycji myślowej i w tej żelaznej logice tkwi błąd. Dla nas — dla Jacka i dla mnie — był to czas wielkiego przestawiania zwrotnic polskiej historii. W takich chwilach najważniejsze są zwrotnice, a nie zwykła arytmetyczna większość. Nigdy w historii komunizmu nie oddali władzy zdobytej „na ostrzach włóczy” — teraz mieli oddawać ją pokojowo. Karol Modzelewski nie był jedynym, który wątpił w taki scenariusz — obaj z Jackiem byliśmy wtedy w mniejszości. Ale decyzja Lecha Wałęsy, który wspierał takie rozwiązanie — z motywów zapewne odmiennych — była czymś więcej niż kaprysem monarchy; było to wyjątkowo trafne odczytanie szansy momentu historycznego. Była w tym inna logika, niż ta z wywodu Modzelewskiego, ale tej logiki nie mogło zanegować żadne głosowanie w OKP. I nie zanegowało — gdy Lech Wałęsa zaproponował kandydaturę Tadeusza Mazowieckiego na premiera, całe OKP udzieliło temu poparcia.

Dla mnie ówczesny błąd Karola utorował drogę do zrozumienia prawdy bardzo istotnej — żywa historia nie chce być posłuszna zasadom logiki.

W 2008 r., w rozmowie z Katarzyną Jaworską i Piotrem Mucharskim, Karol Modzelewski wspominał: „Szczepnie mówiąc, byłem przeciwko powstaniu rządu Mazowieckiego. Oczywiście, myliłem się, ale dodam na usprawiedliwienie, że w tym czasie Tadeusz Mazowiecki ogłosił w »Tygodniku Solidarność« artykuł, w którym również tłumaczył, że nie powinniśmy formować rządu, m.in. dlatego, że w dramatycznej sytuacji gospodarczej strona solidarnościowa nie miała żadnego programu ekonomicznego. Mazowiecki wtedy jeszcze nie miał w swojej ekipie Balcerowicza. Może nawet nie wiedział o jego istnieniu. Pamiętam, że z premedytacją wziąłem urlop akurat w czasie, kiedy ten rząd się formował. Kiedy wróciłem, zapytałem Tadeusza, dlaczego po takim artykule zdecydował się zostać jednak premierem. Odpowiedział mi, że Rakowski uwolnił właśnie ceny żywności i nikt prócz nas nie mógł tej sytuacji politycznie udźwignąć. Co było prawdą”. Dobrze pamiętam tamten moment. Nie sądzę, by decyzje Rakowskiego były jedynym motywem zgody Mazowieckiego na objęcie teki premiera — logika Karola była równie nieprzemakalna jak jego naiwność.

XVI.

Rząd Mazowieckiego był znakiem przełomu. Nie był prostą emanacją NSZZ „Solidarność” — bo nie mógł być, tak jak nie mógł być emanacją OKP. Był to rząd destrukcji systemu komunistycznego i „początku ustrojowej przemiany”.

Karol Modzelewski miał rację, gdy pisał, że swoista psychologia stanu wojennego odmieniła „Solidarność”. Ta psychologia wojny, „nacechowana czarno-białym widzeniem świata sprawiała, że działacze podziemnego związku skłonni byli uznawać za cel swojej walki zniszczenie wroga, obalenie »komuny«, a nie obronę bytowych interesów środowiska pracowniczego”. Miał też rację, „że po utworzeniu rządu Mazowieckiego najważniejszym układem odniesienia dla ludzi tego obozu była własna formacja polityczna, a nie pracownicza baza społecznego związku”. Takie opinie formułował w eseju „Dlaczego jest pan wiecznie w opozycji?” (1993 r.).

Czyż jednak ten obóz mógł wtedy rozumować i postępować inaczej? „Ci, co zarzucają »Solidarności« — pisał w 1986 r. — że nie ograniczyła się do żądań czysto związkowych, operując eufemizmem lub nie wiedzą co mówią. Postawa czysto związkowa polegałaby na żądaniu dalszego wzrostu płac i pełnego zaopatrzenia rynku, korzystniejszych układów zbiorowych itp., bez oglądania się na problemy gospodarcze, z którymi boryka się nasz wspólny pracodawca. W warunkach 1981 r. byłaby to najkrótsza droga do konfrontacji”.

A czymże byłaby taka polityka latem 1989 roku?

Albo inaczej — niech będzie mi wybaczone, że sięgam do historii — czy można stawiać zarzut Józefowi Piłsudskiemu, że w 1918 r. troszczył się o niepodległość Polski, a nie o „obronę bytowych interesów środowiska pracowniczego”?

Nie są to pytania retoryczne. Kryją one w sobie istotę sporu o pierwsze dziesięciolecie III RP. W tym sporze Karol Modzelewski i Jacek Kuroń znaleźli się w różnych obozach politycznych. Łączyła ich troska o ład demokratyczny w Polsce. Zgodnie przeciwstawiali się pomysłom lustracyjnym, dekomunizacyjnym i innym szaleństwom polskich „antykomunistów z bolszewicką twarzą”. Esej Modzelewskiego o „Dyktaturze ciemniaków” zaliczam do klasyki polskiej publicystyki politycznej. To, co pisał o zagrożeniu autorytaryzmem przez rząd braci Kaczyńskich czy roli służb specjalnych w tzw. sprawie Oleksego zaliczam do tej samej kategorii tekstów troski obywatelskiej i maestrii pisarskiej. Głos Modzelewskiego w tym czasie, to był „głos wolny wolność ubezpieczający”.

XVII.

Nikt już dziś nie wierzy w bazę i nadbudowę, ale scjentystyczna tradycja sprzed półtora wieku wciąż kształtuje popularne schematy pojęciowe. Na gruncie tej tradycji kultura duchowa ujmowana jest jako zjawisko wtórne wobec realiów życia gospodarczego i społecznego. Tymczasem chrzest nowych ludów nie był pochodną, lecz początkiem ustrojowej przemiany. Chrzest miał wymiar przewrotu spo-

łecznego: godził w podstawy tradycyjnego ustroju europejskich plemion, burzył go i torował drogę stanowieniu nowego porządku.

Karol Modzelewski, „Barbarzyńska Europa”

Gdy nieprzyjaciół demonstracyjnie niszczył ten filar kosmicznego ładu, barbarzyńscy Sasi czy Wolinianie mieli powody do obaw, że niebo zawali im się na głowy. I wcale tu nie chodzi o zabo-bonny strach ciemnych ludzi. Nic bardziej nie zagradza drogi do rozumienia archaicznych kultur niż prostacka pogarda cywilizowanego człowieka wobec odmienności barbarzyńców.

Wysłuchując chrześcijańskich modernizatorów, barbarzyńcy mówili: „Z powodu takich ludzi ziemia nasza nie wyda plonów, drzewa nie będą owocować, nowe zwierzęta przestaną się rodzić, stare zginą. Wychodźcie, wychodźcie z naszych granic!

Brunon z Kwerfurtu, cyt. wg Karol Modzelewski, „Barbarzyńska Europa”

Sam chrzest nie przerażał. Przerażało towarzyszące temu przyjęcie nowej wiary, radykalne, demon-stracyjne zniszczenie starego kultu, dzięki któremu istniał świat.

Karol Modzelewski, „Barbarzyńska Europa”

Polityka „szokowej terapii” Leszka Balcerowicza przerażała. To było trzęsie-nie nieba — nie tylko dla Karola Modzelewskiego; także dla nas wszystkich — lu-dzi „Solidarności”. Jednak różne były nasze reakcje.

Jacek Kuroń — nie bez krytycznego dystansu — popierał tę politykę; także i ja tę politykę popierałem. Karol Modzelewski był jej konsekwentnym krytykiem od samego początku. Widział w tej polityce drogę do katastrofy — gospodarczej i społecznej; widział w niej także źródło potencjalnego autorytaryzmu.

Mówił, że rezultatem uwolnienia cen jest drastyczne ograniczenie spożycia mleka i skupu, że grozi to wybicciem stada podstawowego, że to samo dzieje się w skupie i przetwórstwie mięsnym, że jest to klęska i rezultat doktryny nieinter-wencji państwa w gospodarkę zmonopolizowaną. Pisał o „niebываłej ekspozycji drożyzny”, o „bezpříkladnym spadku produkcji i stopy życiowej”, o „zamieraniu gospodarki”, o „zdrowotnej i cywilizacyjnej degradacji polskiego społeczeństwa”, o „księżycowej ekonomii” *etc.* Zapowiadał (w 1993 r.) „łańcuchowy upadek przed-sięwzięć”, który doprowadzi do „społeczno-politycznego szoku”. Nazywał tę politykę „drogą do Boliwii” lub „na wstecznym biegu do Albanii”. Nie podziela-łem tych czarnych wizji Karola Modzelewskiego, choć w wielu kwestiach szcze-gółowych przyznawałem mu rację (np. w sprawie reprivatyzacji). Natomiast zu-pełnie nie podzielałem jego poparcia dla dzikich strajków, choć popierał go w tej materii — od pewnego momentu — Jacek Kuroń.

Różnił się jednak w tym, co było najważniejsze: Karol Modzelewski był zdania, że trzeba porzucić politykę „wielkiego skoku” Balcerowicza i powrócić na drogę stopniowych przekształceń, które muszą trwać wiele lat. Natomiast ja nale-żałem do obrońców polityki Balcerowicza, choć także byłem zdania, że należy ją korygować. Oczywiście — tak, jak Karola Modzelewskiego — raziły mnie i wciąż rażą ogromne nierówności, korupcja, klientelizm, populizm i demagogia obecne w polskim życiu politycznym. Wiem jednak, że usuwać te skazy można tylko stop-niowo i z świadomością, że żadnej z nich nie usunie się ostatecznie. Blaise Pascal

powiadał, że człowiek nie jest ani aniołem, ani bydlęciem, gdy jednak próbuje być aniołem, staje się bydlęciem.

Karol Modzelewski nigdy — co jest godne najwyższego podziwu — nie angelizował samego siebie; zachowywał zdrowy dystans i autokrytycyzm. Po 2008 r. powiedział w wywiadzie Katarzynie Janowskiej i Piotrowi Mucharskiemu:

„W Senacie głosowałem przeciw kluczowym ustawom planu Balcerowicza. Dziś jednak powiedziałbym tak: prawdopodobnie istniały możliwości przeprowadzenia polskiej transformacji mniejszym kosztem. Balcerowicz musiał jednak to zrobić bardzo szybko, przy braku realnej alternatywy. [...] W 1989 r. gmach dyktatury komunistycznej zawałił się całkowicie. By wraz z nim nie zawałiła się gospodarka, należało przeprowadzić zmiany natychmiastowe, ale nie ewolucyjne. Ewolucyjne zmiany przeprowadzono w Chinach. Stało się to z o wiele mniejszym kosztem gospodarczym, ale jaki był koszt społeczny, lepiej zmilczmy... Pamiętajmy tylko, że chińska gospodarka ma u swoich początków plac Tienanmen, a potem bezwzględna dyktaturę, która trzymała ludzi za krtań. W demokratycznej już Polsce było to oczywiście niemożliwe...”

Iluz ludzi ma tyle uczciwości i odwagi, by zdobyć się na taką deklarację?

XVIII.

Każdy sposób myślenia o przeszłości wiąże się z jakimś sposobem wartościowania i rozumienia współczesnego świata. Rozbieżność sądów wartościujących, choćby w postaci odmiennych ocen ważności, jest zawsze obecna w sporach o interpretację procesów historycznych. Dlatego spory te nie są do końca rozstrzygalne.

Karol Modzelewski; „Barbarzyńska Europa”

Inaczej mówiąc — historyk i polityk mają jednak z sobą coś wspólnego, choć zgodzić się wypada z prof. Modzelewskim, że „historiografia nie odkrywa domniemanych praw społecznego rozwoju i nie dostarcza recept dla politycznej praktyki”. Historyka łączy z politykiem świadomość, że rozumienie świata jest uzależnione od ich systemu wartości.

Komentując reformę mieszkalnictwa, Karol Modzelewski formułował istotę sporu aksjologia: czy w Polsce XXI w., posiadanie dachu nad głową ma być socjalnym prawem, które „Rzeczpospolita gwarantuje obywatelom bodaj w minimalnym zakresie, czy też o mieszkaniu lub bezdomności mają decydować wyłącznie pieniądze i wolny rynek?” „Różnica zdań — precyzował — dotyczy wartości”. Chodzi o sprzeczne wizje ładu społecznego, a nie sposób wykorzystywania ograniczonych zasobów; „spieramy się nie tyle o najwłaściwszą drogę do celu, ile o to, do jakich celów chcemy zmierzać”.

W latach PRL Karol Modzelewski postrzegał istotę struktury społecznej jako fundamentalny konflikt centralnej politycznej biurokracji, zwanej później nomenklaturą, z klasą robotniczą czy też później — z całym niemal społeczeństwem zor-

ganizowanym w „Solidarność”. Ten obraz zmienił się oczywiście po roku 1989. Powiadał wtedy, że „ludzie zwycięskiej walki traktują Polskę jak swoje trofeum”, że tworzą „rzeczpospolitą kołesiów”, „święcie przekonanych o własnej wyższości nad przeciętnymi zjadaczami chleba”. Był zdania, że „zerwana zostaje kotwica powstrzymująca elity polityczne przed porzuceniem własnej bazy społecznej czy wręcz działaniem na jej szkodę”. Przestrzegał: „Podatność zawiedzionych i zrezygnowanych ludzi na ksenofobię jest następstwem polityki, która ich degraduje, pozbawia elementarnego poczucia bezpieczeństwa oraz nadziei na przyszłość i nie ma im nic do zaoferowania”.

Zatem konflikt naczelny w Polsce po 1989 r., to konflikt nowych elit z „ludźmi wyrzuconymi przez reformy za burtę”, ludźmi bez pracy, bez zasiłku, bez widoków na przyszłość. Ten podział — rezultat polskiej drogi do kapitalizmu — zdefiniował z czasem jako „Polskę pękniętą”. Politolog, rządy koalicji PiS — LPR — „Samoobrona”, definiował jako populizm czyli odwołanie się do plebejskiej wrogości wobec wszelkich elit i autorytetów. Siła tej koalicji — pisał w artykule „Chóry i pienia” — „ujawnia pęknięcie kulturowe”, „groźne naruszenie więzi społecznych”.

„Z jednej strony — pisał — mamy ludzi lepiej wykształconych, lepiej sytuowanych, lepiej oceniających bilans transformacji ustrojowej i własne perspektywy życiowe. Jest to Polska oświecona, dla której krytyka PiS jest przekonująca, głos profesorów prawa ma wielką wagę, a słowa i decyzje ministra Ziobro są kompromitujące. [...] Po drugiej stronie mamy jednak wielką rzeszę ludzi gorzej wykształconych i sytuowanych, których liberalna modernizacja kraju zostawiła za burtą, a bilans III RP przedstawia się w ich oczach fatalnie. Ta rzesza to Polska ludowa. Tu nie docierają argumenty obrońców liberalnej demokracji i żadna burza medialna nie zmieni pozytywnego obrazu PiS. [...] Polskę ludową dzieli od Polski oświeconej szczelna bariera komunikacyjna, przez którą w jedną, ani w drugą stronę nie przenikają oceny, argumenty, informacje. Mamy do czynienia z rozbiciem społeczeństwa na dwie części, obce sobie nawzajem”.

Uważałem — i uważam — diagnozę Karola Modzelewskiego za radykalnie jednostronną, choć wielu ludzi postrzega polską rzeczywistość w taki właśnie sposób. Pamiętam własne reakcje — bardzo niejednoznaczne — na reformę Balcerowicza. Była ona zaprzeczeniem etosu „Solidarności”, dlatego także i dla mnie była trudna do zaakceptowania. Zamiast solidarności — nierówności społeczne, bezrobocie, bankructwa zakładów, „wyścig szczurów”, szok bezsilności. To było prawdziwe trzęsienie nieba. Można było próbować łagodzenia skutków tego trzęsienia nieba — i tego próbował Jacek Kuroń. Można było mu odmawiać prawa do istnienia — jak Voltaire, który po trzęsieniu ziemi w Lizbonie wysłał telegram do Pana Boga.

Karol Modzelewski — myślę — podążył drogą Voltaire’a; ja wybrałem szlak Jacka Kuronia. Politykę Balcerowicza uważał Karol — zasadnie — za porzucenie etosu „Solidarności”, za „spychanie w ubóstwo naszej bazy społecznej”. Pisał

brutalnie: „Jestem pod wrażeniem łatwości, z jaką elity, wyłoniłone przez pracowniczy ruch, dokonały zwrotu o 180 stopni, porzucając wartości uznawane dotąd za naczelne kryterium polityki społeczno-gospodarczej. [...] Jestem przekonany, że tak raptowna zmiana punktu widzenia, owo nadzwyczajnie łatwe przeistoczenie związkowców w liberałów, świadczy o braku lub raczej zaniku poczucia lojalności wobec bazy społecznej ruchu”.

Nie podzielałem tych opinii, ale nigdy nie wątpiłem w ich szczerość i rzetelność. Karol nieraz pisał o swojej solidarności z Nieznajomym, z tłumem. I tej solidarności chciał pozostać wierny. Wiele osób pytało mnie, dlaczego Karol w III RP tak szybko usunął się z polityki. Odmawiałem odpowiedzi tłumacząc, że należy pytać o to samego Karola. Tutaj jednak zaryzykuję własne przypuszczenia. Otóż — po pierwsze — pasja historyka wieków średnich okazała się znacznie mocniejsza od namiętności polityka dni terażniejszych. Po wtóre — polityka parlamentarna przeobrażona w mityng i festiwal demagogii nie stwarza dobrej wibracji dla ludzi typu Karola. Wreszcie — po trzecie — projekt partyjny Unii Pracy, w który był zaangażowany, okazał się — zacytuję Karola — „konstrukcją z papieru i został pogrzebany bez rozgłosu”.

XIX.

Jacek Kuroń pisał z zazdrością, że Karol Modzelewski mówi, myśli i pisze z „nieodpartą, precyzyjną logiką”. „Ma umysł, który jest najdoskonalszą znaną mi maszyną analityczną. Kiedy przystępuje do wnioskowania, to pracuje bezbłędnie”. Karol zaś pisał, że choć uchodzi za człowieka kierującego się rozumem, a nie emocjami, to przecież jego wybór wartości, zawsze irracjonalny, „zależy od skomplikowanej sfery uczuć”.

Mnie zaś korci pytanie: o jakiej Polsce marzy ten historyk i obywatel z pasji permanentnej; ten polityk z pasji okazjonalnych? W jakiej Polsce chciałby żyć?

Łatwiej jednak odpowiedzieć na to pytanie przez negację — w jakiej Polsce nie chciałby żyć? Otóż — po pierwsze — nie chciałby żyć w Polsce „wielkich nierówności społecznych”; w Polsce „zdominowanej przez gospodarkę rynkową”, „bez ludzkiej twarzy”. Nie chciałby Polski, która wyrzeka się troski o biednych, poniżonych, wykluczonych. Nie chciałby Polski, która porzuciła etyczne zasady „Solidarności”.

Po wtóre — nie chciałby Polski rządzonej autokratycznie, także gdyby był to dyktat „oświeconych” reformatorów. Nie chciałby Polski, w której obywateli pozbawia się podmiotowości.

Po trzecie — nie chciałby Polski budowanej na wykluczeniach i dyskryminacjach mniejszości narodowych, bądź religijnych. Nie chciałby Polski zbudowanej na filozofii mściwego odwetu wobec kogokolwiek; Polski, która nie jest wspólna, nie jest dla wszystkich, lecz tylko dla niektórych.

Po czwarte — nie chciałby Polski zbudowanej na wrogości do innych narodów, zwłaszcza do sąsiadów. Nie chciałby Polski kultywującej kompleksy, re-sentymenty i mity. Jesienią 1981 r. powiadał, że zagrażają Polakom „objawy nietolerancji, nie wyleczone do końca urazy świadomości narodowej”. „Byłoby nadmiarem optymizmu przypuszczać, że wybór Wojtyły na papieża, jego wizyta w Polsce, która miała ten efekt uzdrawiający, leczniczy raczej, bo jeszcze się nie wyleczyła, czy wreszcie powstanie »Solidarności« wszystko od razu załatwi”. Pisząc — w 2000 r. — o roli historycznej Jerzego Giedroycia, podkreślał znaczenie cierpliwej pracy perswadowania Polakom, że trzeba wyrzec się Wilna i Lwowa, ale nie w imię przynależności tych obszarów do Związku Sowieckiego, lecz do wolnej Litwy i Ukrainy, zaś „negowanie przez Polaków usprawiedliwionych aspiracji ukraińskich, litewskich i białoruskich służy tylko poróżnieniu zniewolonych narodów i umacnia imperium”. W artykule „Patrioci przeciw Polsce” (1997 r.) pisał: „W polityce polskiej uwija się spore grono bojowników, którzy siedzieli w tym okresie [w PRL] cichutko za piecem. Czasem ci, którzy wtedy nie byli odważni jak lew, dziś chcą być przynajmniej tak odważni jak hiena cementarna, dzielnie atakując rosyjskie pomniki i groby. W przypadku ataków na symbole ukraińskie i rosyjskie w grę wchodzi także zwykła głupota. Jest to potęga większa od wszystkich wywiadów świata i nieobca [...] naszej lokalnej samorządności. [...] Wynaturzenia uczuć patriotycznych, które obracają patriotów przeciwko Polsce, tkwią korzeniami głęboko w społeczeństwie. Wyrastają one z urazowych schorzeń świadomości narodowej, stereotypów i fobii. Gdy one się budzą, milknie rozum i zaczynamy działać na własną szkodę”.

Po piąte — nie chciałby Polski owładniętej demagogią i populizmem; Polski, która nie jest zdolna do debaty rzetelnej i odpowiedzialnej. Nie chciałby Polski wymuszającej uniformizację, a mającą w pogardzie różnorodność, pluralizm, bogactwo wzorów kulturowych. Nie chciałby Polski, która odwraca się od wysiłku rozumienia swojej własnej — pięknej, ale skomplikowanej — historii; Polski, która nie ma ochoty, ani odwagi zmierzyć się z ciemnymi fragmentami własnego dziedzictwa. Nie chciałby Polski, która odrzuca własne autorytety, bowiem to one właśnie wzbogacały ją o — pisał Modzelewski — „życiodajny impuls chuligaństwa”. Klasyka gatunku tej postawy widział w Leszku Kołakowskim, zapewne największym z polskich humanistów XX stulecia.

Ten impuls to tyle co kontestacja; kontestatorski opór wobec narkotyku wielkiego demiurga; wobec umarłych bogów ideologii, którą utrzymuje u władzy już tylko urzędowa przemoc; to sprzeciw wobec kapłana w imię kondycji błazna i wobec *profanum* tryumfującego w imię *sacrum*.

Jednak autorytety Karola Modzelewskiego to nie tylko świat kontestacji; to także świat kontynuacji i tradycji. Świadectwem tego jest esej o Aleksandrze Gieysztorze, jego mistrzu naukowym. Piękny to esej. Oddając hołd swojemu mistrzowi, Modzelewski przypomniał jego wspaniałą kartę żołnierza AK. Pisał, że po wojnie Gieysztor nie miał złudzeń — nie wierzył w III wojnę (Zachodu ze Stalinem)

w obronie Polski. Dlatego posłuchał prof. Tadeusza Manteuffla, też konspiratora z AK, który powiedział mu w 1945 r.: „nie będziemy robić teraz żadnej partyzantki, tylko uniwersytet”. Wielu towarzyszy z podziemia miało za złe Gieysztorowi zerwanie z antykomunistyczną konspiracją. Jednak moralny dylemat: konspiracja czy uniwersytet, Gieysztor rozstrzygnął tak, jak inni wybitni historycy tej generacji: Stanisław Herbst, Stefan Kieniewicz czy Witold Kula. Zajmował się odbudową uniwersytetu i nauki historycznej. „Tworzył w rządzonej przez komunistów Polsce swego rodzaju ekologiczną niszę, w której dla historyków [...] istniały niemałe możliwości przyzwoitej pracy naukowej i nauczycielskiej. [...] Były to oazy zawodowej przyzwoitości, a zarazem — bo to nieoddzielne — przyzwoitości po prostu, która w tym środowisku [...] polskiego życia kulturalnego nie zginęła. To, że nie zniknęła jest zasługą ludzi, którzy dokonali takiego, jak Gieysztor wyboru. A przecież ten wybór oznaczał, że się wchodzi w pewien układ z komunistyczną władzą. [...] Gieysztor i jego przyjaciele musieli stosować się do logiki kompromisu. Nic tu nie było za darmo; obie strony miały świadomość, że coś biorą i z czegoś rezygnują. Tolerując istnienie pewnych obszarów kultury zagospodarowanych przez niekomunistycznych intelektualistów, a więc miarkując tam nacisk swoich polityków, komuniści oczekiwali w zamian rezygnacji z jakiegokolwiek opozycji politycznej. Był to milczący kompromis między nierównymi stronami, bez gwarancji dla słabszych. Ale dla społeczeństwa ujętego w karby systemu komunistycznego kompromisy takie miały istotne znaczenie”

Karol Modzelewski — bezkompromisowy w więzieniu i na ławie oskarżonych — umiał docenić sens i wartość postaw kompromisowych w życiu publicznym. Dlatego — sędzę — nie chciałby żyć w Polsce, gdzie dokonania, przekonania i doświadczenia Gieysztora i Kołakowskiego byłyby unieważnione na podstawie zawartości archiwów aparatu bezpieczeństwa.

Po szóste — nie chciałby żyć w Polsce czystek personalnych dokonywanych wedle klucza politycznego. Jeden z projektów ustawy lustracyjnej — a było ich wiele — przewidywał, że bez udowodnienia niewinności zaświadczeniem z IPN, nikt nie będzie mógł pełnić ważnych stanowisk w państwie, w administracji, w nauce i kulturze. Komentował te pomysły sarkastycznie. „Przypuśćmy — pisał — że Leszek Kołakowski zechciałby powrócić do Polski i objąć katedrę, z której wypędzili go niegdyś Gomułka i Moczar. Nie dopuści do tego Senat Rzeczypospolitej, gdyż prof. Kołakowski był swego czasu lektorem KC PZPR (w terminologii projektu — »politycznym pracownikiem instancji«). Pręgierz czeka gotowy. Tylko czyja będzie hańba — Leszka Kołakowskiego, czy nasza?”

Po siódme — nie chciałby żyć w Polsce „zimnej wojny religijnej”. Obawiał się takiego obrotu rzeczy. Ilustrował to konfliktem wokół odzyskiwania mienia przez Kościół (np. Zgromadzenie Sióstr św. Jadwigi odzyskało we Wrocławiu budynek, w którym od 1945 r. mieścił się szpital zakaźny). Podobnie niepokoiła go restrykcyjna ustawa antyaborcyjna. Czy norma moralna głoszona przez Kościół może być skutecznie wymuszana przez państwowy przymus, jeśli nauka Kościoła

okazała się bezsilna? Czy policjant, prokurator i strażnik więzienny będą bardziej skuteczni niż ksiądz na ambonie? Gdy pojawił się projekt referendum w sprawie kryminalizacji aborcji, Kościół oświadczył, że „nie głosuje się nad moralnością”. „Ale referendum — tłumaczył Karol Modzelewski — nie ma dotyczyć moralności, tylko prawa karnego. Gdy pomieszymy te porządki i nałożymy respekt dla wartości chrześcijańskich, to pójdziemy w stronę wyznaniowego prawa i państwa”. Tak pisał Modzelewski w styczniu 1993 r. I przypominał, że kryminalizacja aborcji to pomysł nienowy — tak uważali już Stalin, Bierut czy Ceausescu.

W tych konfliktach widział drogę do odradzania się dwóch widm przeszłości — klerykalizmu i antyklerykalizmu.

Wreszcie — po ósme — nie chciałby żyć w Polsce „pękniętej” raz na zawsze na „oświeconą” i „ludową”, na „klerykalną” i „antyklerykalną”; na postkomunistyczną i post-solidarnościową, nie chciałby żyć w Polsce, która nie umie i nie chce rozmawiać ze sobą.

Przeciwstawiał temu dwa doświadczenia z własnej biografii: Październik 56 i „Solidarność”. Bohaterem Października dla Karola Modzelewskiego na zawsze pozostał Leszek Goździk, lider robotników z FSO Żerań. Wspominając go, pisał: „Spontanizność tłumy jest dla dyktatury zawsze niebezpieczna. A mnie tłum kojarzy się z pierwszym, zbiorowym przeżyciem wolności. Wtedy, w Październiku, pierwszy raz widziałem tylu zgromadzonych ludzi, którzy wyrażali to, co czuli i czego chcieli, a nie to, co im kazano. [...] Goździk nie wznosił okrzyków, nie machał rękami, nie grzał emocji. Mówił spokojnie, niespiesznie, robił pauzy i z namysłem dobierał słowa. Ale mieliśmy poczucie, że każde jego słowo trafia w sedno i pomaga nam, każdemu z nas, sformułować to, co myślimy. [...] Goździk mówił racjonalnie, jakby zapraszał tłum do wspólnej refleksji. [...] Każdy z nas wiedział, że Goździk zwraca się do niego osobiście, jak do partnera dialogu; [...] Goździk traktował ludzi, z których składał się tłum podmiotowo, z szacunkiem”.

Rozmowa z takim tłumem, poznanym w 1956 r., rozpoznany na nowo w latach 1980–1981, była dla Modzelewskiego warunkiem „budowania mostów” w „pękniętej” Polsce. Podzielałem te fascynacje spotkania z tłumami, podzieliłem też wielki szacunek dla Leszka Goździka. Ale nie podzielałem wyznania wiary w tłum. Zbyt często widziałem w roli głównego mówcy bynajmniej nie Goździka, lecz jakąś kopię Mussoliniego ubranego w narodowe barwy. Jednak myśląc inaczej wiem, że ta wiara Karola Modzelewskiego — to piękna wiara. Tak piękna, że nie raz przenosiła góry.

XX.

A w jakiej Polsce Karol Modzelewski chciałby żyć? Myślę, że w Polsce „gościnnej”. Przytaczał w swojej świetnej książce o „Barbarzyńskiej Europie” słowa Adama, kanonika z Bremy, na temat Szwedów:

„Rzekłbyś — pisał kanonik — że Szwedom nie brak żadnych bogactw, nie mają tylko owej pychy, którą my tak [...] wielbimy. Wszystkie bowiem przedmioty próżności [...] mają za nic. [...] Nie ma dla nich większej hańby, niż odmówić gościny wędrowcowi. Gorliwie współzawodniczą między sobą o to, kto jest godniejszy, by przyjąć gościa, dają mu wszystko, czego grzeczność wymaga, dopóki on zechce tu pozostać i z gorliwością prowadzą go w kolejne kwatery do swoich przyjaciół. [...] Głosicieli prawdziwej wiary, jeżeli są cnotliwi, roztropni i godni, otaczają tak wielką miłością, że nie bronią biskupom wstępu na ogólne zgromadzenie ludu. [...] Tam więc nieraz słuchają dobrowolnie o Chrystusie i chrześcijańskiej religii. I może łatwo dałoby się nawrócić słowem na naszą wiarę, gdyby źli nauczyciele, którzy nie Jezusa Chrystusa lecz własnej szukają korzyści, nie gorszyli tych, których można zbawić”.

Tyle kanonik z Bremy. Czyż nie jest to piękne? Czyż nie warto, Karolu, czasem oddać się marzeniu o takiej Polsce gościnnej? Choćby na chwilę...

* * *

Pisząc tę pracę korzystałem z następujących pozycji:

- Karol Modzelewski, „Barbarzyńska Europa”, Iskry, Warszawa 2004;
Karol Modzelewski, „Między ugodą a wojną”, Archiwum Solidarności, Seria: „Dokumenty”, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1983;
Karol Modzelewski, „Dokąd od komunizmu”, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1993;
Karol Modzelewski, „Życiodajny impuls chuligaństwa”, Universitas; Biblioteka „Kuźnicy”, Kraków 2003;
Karol Modzelewski, „List otwarty do Edwarda Gierka”, „Aneks”, nr 13–14;
Andrzej Friszke, „Anatomia buntu”, Znak, Kraków 2010.